

Pamiętnik zarodka

*Opowieść science fiction o życiu
bezkresnym.*

Zbigniew Andrzej Nowacki



Łódź, listopad 2012

TOM PIERWSZY

TAJEMNICE

Prolog

Gdzieś na Ziemi, XXI wiek.

Środa



– Jak się macie, moje maleństwa? – powiedziała pani doktor. (Ona jest zawsze taka miła.) Jest nas tu siedmioro dzieci, czterej chłopcy i trzy dziewczynki. Ściśle rzecz biorąc, ja i moje rodzeństwo jesteśmy zarodkami w klinice in vitro. Nie widzę i nie mogę nic mówić, ale słyszę, co mówią już narodzeni ludzie. Nie wiem dlaczego, ale zdaje mi się, że tylko ja posiadam tę

zdolność; moi bracia i siostry nie reagują na żadne dźwięki i inne sygnały.

Słucham uważnie rozmów między pracownikami kliniki. Znam już podstawowe pojęcia genetyki takie jak aminokwasy, DNA, RNA, geny, itd. Dowiedziałam się, że każde z nas posiada 46 chromosomów określających między innymi naszą płeć. Pochylając się nad moją probówką pani doktor stwierdziła, że jestem dziewczynką. Stąd to wiem.



Czwartek rano

Dzisiaj po raz pierwszy usłyszałam głos mojej mamy. Bardzo mi się podobał. Rano pani doktor (która też ma ładny głos, ale to nie to samo) powiedziała:

– W zasadzie do tego pomieszczenia mają wstęp tylko lekarze. Musimy dbać o bezpieczeństwo zarodków. Im mniej osób tu wchodzi, tym mniejsze jest zagrożenie mikrobami. No, ale dla pani możemy zrobić wyjątek. W końcu to oglądając pani

wyniki badań szef żartował, że zawitała do nas chyba „bogini płodności”. Proszę, tu są państwa dzieciaczki.

– Ale śliczne... A czy mogę nakleić na probówkach ich imiona?

– Imiona?

– Tak, wymyśliliśmy już z mężem imiona dla nich. To dla nas bardzo ważne. Mogę?

– Proszę.

Mama przymocowała karteczki, ale niestety ich nie odczytała, więc nie wiem jak mam na imię. Jednak i tak jestem szczęśliwa. Życie jest piękne.



Czwartek po południu

Sprawdzał nas niespodzianie dyrektor kliniki (jak już poszedł, pani doktor szepnęła do siebie, że ktoś musiał mu donieść o tych karteczkach). Czułam, jak unosi moją probówkę, a potem prawdopodobnie robił to samo z innymi, bo sapał przez dobrą chwilę, aż w końcu powiedział:

– Zdaje się, że to jest jakaś religijna rodzina. Wszystkie te imiona męskie mają długą tradycję chrześcijańską. Co więcej, imiona żeńskie odpowiadają trzem najbardziej znanym niewiastom z całej religii.

– Tak, to bardzo pobożne małżeństwo, katolicy.

– A czy zrobiłaś już, Teresko, analizę genetyczną?

– Oczywiście, panie profesorze. Zastosowałam ten najnowszy aparat. Dwa zarodki, męski i żeński, są całkowicie zdrowe. Jeden embriion żeński ma drobną wadę. Niestety, pozostałe zarodki nie nadają się do niczego. Mieliśmy duże trudności z pozyskaniem odpowiednich plemników od tego pana.

– Że też taka kobieta musiała trafić na takiego faceta.

– Ludzie, szefie, nie interesują się tymi sprawami, dopóki nie zechcą mieć dzieci. A wtedy zwykle są już po ślubie.

– Z naszego punktu widzenia to może nawet lepiej...

Muszę przyznać, że nie wszystko z tej rozmowy zrozumiałam. Na przykład, co to znaczy, że „zarodki nie nadają się do niczego”? Ale może to nie jest takie ważne. Jestem ogromnie wdzięczna moim rodzicom za to, że zgłosili się do tej kliniki.



Piątek

Niezlą awanturę tu dzisiaj mieliśmy. W głównej roli wystąpił mój rodzony ojciec i

było mi za niego zwyczajnie wstyd. Tata stał na korytarzu i koniecznie usiłował wejść do naszego pokoju, ale pani doktor bohaterko zagroziła drogę. Wobec tego zaczął mówić podniesionym głosem, że on ma prawo zobaczyć swoje dzieci. Mama też tam była i bezskutecznie próbowała go uspokoić. Potem ojciec zdenerwował się jeszcze bardziej i krzyczał coś o cholernych łapówkarzach (tego to już zupełnie nie zrozumiałam). W końcu wybiegł z kliniki i zapadła cisza.

Po pewnym czasie tata wrócił i domyśliłam się, że wręcza pani doktor kwiaty. Prawie płacząc mówił:

– Pani doktor, ja panią serdecznie przepraszam za moje zachowanie, ale to jest dla mnie naprawdę dramatyczna sytuacja... Wiem, że robię źle z tym in vitro, ale tak bardzo pragnęłam wychowywać dzieci... Nie jakieś adoptowane, ale swoje własne...

– No to przecież będzie je pan wychowywał.

– Tak, ale nie wiem, jak to zostanie przyjęte tam na górze. Dlatego chciałem ochrzcić nasze zarodki.

– Ochrzcić?! – głos pani doktor zdradzał jej ogromne zaskoczenie.

– Tak, może miłosierny Bóg zechciałby to uwzględnić.

– Ale przecież... Przecież pan nie jest księdzem?!

– Nie jestem. Ale istnieje zatwierdzona przez papieża ceremonia świeckiego chrztu, którą w wyjątkowych przypadkach może odprawić każda osoba wierząca. Błagam panią doktor, niech mi pani pomoże...

– Do tego pokoju nie mogę pana wpuścić – powiedziała pani doktor po zastanowieniu. – Już i tak szef mnie zrugął za te karteczki.

– Właśnie, karteczki – podchwycił ojciec. – Co jak co, ale na wzrok nie narzekam. Mogę odczytywać imiona dzieci stojąc za progiem. Wystarczy, że pani będzie mi pokazywać próbki tam nad stołem.

– Ach, tak... No, na to mogę się zgodzić.

– Dziękuję serdecznie – odetchnął z ulgą tata i otwierając z charakterystycznym dźwiękiem zamek teczki dodał: – Będzie nam jeszcze to potrzebne.

– Co to jest?

– Sól.

– Sól?

– W tym przypadku sól jest niezbędna. Gdyby była pani tak uprzejma posypać nią próbki... – poprosił tata.

– Przecież to się nawet nie będzie trzymać – stwierdziła pani doktor i dodała fachowo: – Co najwyżej mogłabym posmarować je roztworem soli fizjologicznej. Czy może być?

– Ależ palant ze mnie – ojciec klepnął się w czoło. – Przywiozłem drzewo do lasu. Sól fizjologiczna i to od razu z wodą! Jasne, że może być.

– Czy to zatwierdził ten papież, który abdykował w początkach wieku? – zainteresowała się jeszcze pani doktor.

– Nie orientuję się dokładnie, ale chyba nie ten.

– Szkoda, bo czytałam o nim w sieci i poruszyła mnie jego historia.

– Tak, on wiedział, kiedy abdykować – westchnął tata. – Ale bierzmy się do roboty.

Już po chwili poczułam, że moja próbówka idzie w górę jako pierwsza i ojciec uroczystym tonem wyrecytował swoją wyliczankę (nigdy takiej nie słyszałam od dzieci bawiących się na podwórzu):

– Ewo, ja cię chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

Potem tata powtórzył to czarodziejskie zaklęcie jeszcze sześć razy zmieniając tylko imię na początku. (Hurra, nigdy nie przypuszczałam, że mój ojciec może być czarodziejem!) Dowiedziałam się zatem, że imionami mojego rodzeństwa są: Jan, Józef, Magdalena, Maria, Paweł i Piotr.

W zasadzie wszystko skończyło się dobrze. Tata jest zadowolony, ponieważ sprawnie nas ochrzanił (czy jakoś tak). Ja jestem szczęśliwa, bo przecież Ewa to piękne imię. I tylko Tereska była coś nie w sosie.

– To chyba jakiś wariat – szepnęła do siebie, gdy ojciec już sobie poszedł.



Sobota rano

Nieszczęście! Okazało się, że mam złą krwinkę i dlatego przerobią mnie na lody lub pójdę do dedukcji! Zdaje się, że jakieś bzdury tu plotę, ale to ze zdenerwowania. Zupełnie nie wiem, co robić. Jednak może zacznę od początku: Rano moi rodzice i pani doktor weszli do pokoju obok. Słyszalność była kiepska, ale po pewnym czasie mogłam rozpoznać wypowiedane słowa.

– Pozostałe zarodki – mówiła Tereska – mają już duże wady genetyczne. Np. Józef, o ile w ogóle urodziłby się żywy, nie mógłby chodzić.

– Oj, nie! – jęknęła mama, podczas gdy ojciec zapytał rzeczowo:

– A czy może pani podać jakieś szczegóły dotyczące choroby Ewy?

– To niewielki defekt krwi. Szereg takich drobnych wad umiemy już usuwać, ale tej akurat nie.

– Czy to się zdarza tylko przy in vitro? – chciał wiedzieć tata.

– Skądże znowu – pani doktor była wyraźnie zaskoczona, że ktoś może o to nawet tylko pytać – przeciętne geny dzieci z in vitro są takie same jak zwykłych.

– Jakie są objawy tej choroby? – zainteresowała się mama.

– Ponad 80% chorych nie ma żadnych objawów i nie potrzebuje się leczyć. Pozostali muszą od jakiegoś momentu brać lekarstwo. Nic uciążliwego, jedna tabletką na dobę. Z tym, że jest tu pewna tajemnica...

– Jaka? – dociekał tata.

– W znikomym odsetku przypadków występuje nagłe pogorszenie stanu zdrowia i chorzy umierają w przeciągu tygodnia...

– To straszne! – wtrąciła z przejęciem mama.

– Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje – kontynuowała pani doktor. – To wygląda tak, jakby żyli zbyt długo. Ale jak powiedziałam, zdecydowana większość osób cierpiących na to schorzenie naprawdę dożywa sędziwego wieku. Jeśli zdecydujecie się państwo na wszczepienie Ewy, to najprawdopodobniej jedynym kłopotem będzie konieczność badania krwi co pół roku.

W tym momencie coś bardzo hałaśliwego przejechało ulicą. Po przywróceniu słyszalności ojciec kończył swoją wypowiedź:

– ...chyba że rzucę to wszystko w cholerę.

– A czy to prawda – spytała mama – że przed wszczepieniem zarodki powinny być zamrożone?

– To było korzystne w starej technologii. W naszej klinice już tego nie praktykujemy. Zamrażane są tylko te zarodki, które muszą czekać na wszczepienie.

– Na czym właściwie to zamrażanie polega? – okazał zainteresowanie ojciec.

– Embriony są umieszczane w plastikowych torebkach i wkładane do pojemnika z ciekłym azotem o temperaturze minus 196 stopni.

– A czy one mają uczucie bólu lub zimna? – zatroskała się mama.

– O tym nie ma mowy. W tej temperaturze ustają wszelkie procesy życiowe.

– Właśnie, ustają! – niemal krzyknął tata. – Czy to może spowodować jakieś ich uszkodzenia?

– W żadnym przypadku – spokojnie tłumaczyła Teresa. – Po odmrożeniu będą w niezmienionym stanie.

– Mimo wszystko nie chcielibyśmy ich zamrażać bez potrzeby – stwierdziła mama.

– W tej klinice pracują najlepsi chirurdzy. Możemy pani wszczepić od razu dwa embriony ze stuprocentową gwarancją powodzenia. Czyli urodziłaby pani bliźnięta dwujajowe. Natomiast z trojaczkami mogłyby być problemy.

– Jak już mąż powiedział, na razie i tak nie stać nas na troje dzieci.

– Wobec tego musicie państwo wybrać dwa zarodki do wszczepienia teraz, a trzeci zostawimy na później.

– Przepraszam bardzo – uprzejmie rzekł tata – ale ja z syna zrezygnować nie mogę.

– Oczywiście – powiedziały jednocześnie mama i pani doktor, po czym wszyscy się roześmieli. Następnie znów straciłam fragment tej konwersacji, ponieważ korytarzem przechodziły rozmawiając głośno dwie pielęgniarki. Gdy weszły do jakiegoś pokoju, mama mówiła:

– A gdyby się okazało, że Ewa byłaby sławną aktorką, piosenkarką lub pisarką?

– Niestety, jeszcze nie jesteśmy w stanie odczytać tego z genów – stwierdziła z żalem pani doktor, podczas gdy tata poprosił:

– Paulo, kochanie, pomyśl racjonalnie. Szanse na to, że Maria lub Ewa odniosą jakiś sukces życiowy są dokładnie takie same. Jednak o Marysi wiemy chociaż, że jest całkowicie zdrowa.

– No tak... – zgodziła się mama, ale raczej bez przekonania.

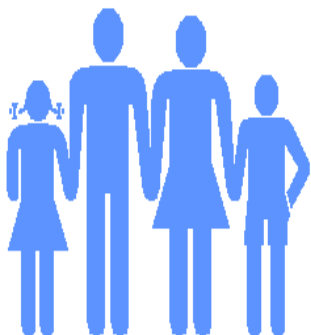
– Zatem – spróbowała podsumować Tereska – wszczepiamy Marysię i Janka, a Ewę zamrażamy?

– Na to wychodzi – z odcieniem smutku rzekł ojciec i zapytał jeszcze: – A czy jest jakaś szansa dla Ewy, gdyby nasza sytuacja materialna się nie poprawiła?

– Może pójść do adopcji – zwięźle odparła pani doktor. – A teraz zapraszam do rejestracji w celu podpisania formularzy.

Wyszli, więc nie wiem, co to jest ta „adopcja”. Martwię się o siebie, ale jednocześnie cieszę się, że Marysi i Jankowi tak bardzo się powiodło. Bo przecież wszyscy mogliśmy być ciężko chorzy, tak jak ten nieszczęsny Józio.

Sobota po południu



Wygląda na to, że będę miała drugą mamę! A dowiedziałam się o tym w następujący sposób: Tata zostawił Paulę w klinice, a potem na korytarzu uciął sobie pogawędkę z Tereską.

– Jaki jest termin przydatności – zażartował w pewnej chwili – zamrożonych zarodków?

– W zasadzie nieograniczony. W tym azocie nic się nie dzieje.

– Może być tysiąc lat?

– Może nawet dwa – żartem odpowiedziała pani doktor.

– Pytam teoretycznie, bo i tak nie stać by nas było na opłacenie tak długiego okresu przechowywania naszej córki.

– Gdybyście państwo mieli taką sumę, to prościej by było wszczepić Ewę małżonce.

– Oczywiście. Natomiast bylibyśmy w stanie do końca życia uiszczać co roku tę opłatę. Czy w tym okresie czasu są jakieś szanse na adopcję? I na czym to właściwie polega?

– Dość często zgłaszają się do nas pary, którym nie możemy pomóc nawet metodą in vitro, aczkolwiek kobieta jest w stanie dziecko urodzić. Proponujemy im wtedy zamrożone zarodki innych rodziców. Ponad 5% ciąż z kliniki jest inicjowanych właśnie w ten sposób. Myślę, że na dziecko z porządnej katolickiej rodziny znajdują się chętni.

– I będziemy powiadomieni, gdyby ktoś reflektował na Ewę?

– Ma się rozumieć.

– A co się dzieje z zarodkami, które, tak jak Józef, nie nadają się do adopcji? Czy one są zabijane?

– Skądże znowu! Nigdy nie zabijamy zarodków. Po pewnym czasie umierają śmiercią naturalną.

A więc tak się sprawy mają... Zamierzają zabrać mi moją Paulę! Początkowo chciałam krzyczeć i protestować, ale przypomniałam sobie, że przecież nie mogę nawet mówić. Ponadto potem doszłam do wniosku, że w czasie ciąży u tej drugiej mamy będziemy mieć dużo czasu aby się z sobą zapoznać i być może będę mogła ją zaakceptować.



Niedziela

Mama była już po zabiegu i tata zabierał ją z kliniki. Gdy szli korytarzem, w pewnej chwili rzekł smętnie:

– Zajrzałem dzisiaj przed południem do kościoła. Akurat kazanie wygłaszał biskup...

– Tak? – zainteresowała się Paula. – A o czym mówił?

– Okropnie napadł na in vitro... Że powinno być zakazane, że lekarzowi nie wolno tworzyć życia... I groził ekskomuniką.

– A ja uważam – oświadczyła mama otwierając drzwi prowadzące na ulicę – że nie robimy nic złego.

I to były jej ostatnie słowa, które słyszałam.

Nie wiem kto to jest ten biskup, ale to musi być jakiś straszny człowiek... Przecież gdyby in vitro było zabronione, to mnie nie było by na świecie! To byłaby dyskryminacja pewnej grupy ludzi, a mianowicie tych, których geny są kombinacją genów mojej mamy i mojego taty. Oni wszyscy nie mogliby

istnieć. Ciekawe co powiedziałyby ten biskup, gdyby to jemu ktoś zabronił istnienia? Na pewno bardzo by krzyczał o swojej krzywdzie.

Jestem przekonana, że nawet Józio głosowałby za in vitro. Bo co by mu przyszło z nieistnienia? A tak były jakieś szanse początkowo jednakowe dla wszystkich. Ostatecznie on sam być może nie pożyje długo, ale przynajmniej jego rodzeństwo ma lepsze widoki na przyszłość. Dlaczego więc nikt nie pyta o to zarodków?

Biskup twierdził jeszcze, że Tereska nie ma prawa tworzyć życia. Otóż mówi to wam zarodek: żaden lekarz nie jest w stanie stworzyć życia. Gdyby pani doktor mogła to zrobić, wszyscy bylibyśmy całkowicie zdrowi. W rzeczywistości Tereska zapewniła tylko obecność sprzyjających warunków. (Myślę, że zwykle małżeństwa robią to samo, chociaż okoliczności są wtedy prawdopodobnie inne.) Natomiast powstanie wad genetycznych pokazuje, że ciągle macza tu palce ten z góry, o którym wspominał tata. I to tamten osobnik jest odpowiedzialny za to, że Józio nie będzie mógł urodzić się żywy.

Robi się coraz chłodniej. Zaczynam mieć dreszcze i staję się coraz bardziej senna... Dręczą mnie jakieś majaki... Na szczęście, zbliża się mama... Nie, to chyba biskup. Nie dotykaj mnie, nie dotykaj mnie! Tfu! Br... jak zimno! Oj...

Rozdział 1

Wskrzeszenie



Gdzieś poza Ziemią, wiele lat później.

Wtorek

Było mi ciepłutko i wygodnie, więc mogłabym tak leżeć jeszcze długo, ale zdecydowałam się wreszcie otworzyć oczy. Nade mną rozprzestrzeniło się czyste, bezchmurne niebo o wspaniałym jasnoblękitnym kolorze. Chociaż widziałam je po raz pierwszy w życiu, od razu pomyślałam, że czegoś tu chyba brakuje, coś było niezgodne z moimi wyobrażeniami o niebie wytworzonymi na podstawie rozmów zasłyszanych w klinice. Nie byłam w stanie ustalić, co by to mogło być, ale zamiast tego przyszła mi do głowy inna myśl: „Skoro mam oczy, to może mam już całe ciało?”

Postanowiłam sprawdzić tę hipotezę. Wyciągnęłam rękę (założyłam, że to jest ręka) i dotknęłam nią uda (założyłam, że to jest udo). Następnie mocno się uszczypnęłam i natychmiast krzyknęłam: „Aj, boli!”. Więc jednak to była prawda. Miałam ciało!

Wobec tego zapragnęłam rozejrzeć się po okolicy. Najpierw usiadłam, a potem trochę niezdarnie wstałam. Zrobiłam jeden mały krok, potem drugi nieco dłuższy i trzeci. Mięciutka trawa przyjemnie łaskotała stopy. Mogłam chodzić!

Było bardzo jasno i ciepło, ale nie duszno; świetnie się oddychało rześkim powietrzem. Znajdowałam się na wielkiej, zielonej równinie. Gdzieniedzie rosły pojedyncze drzewa i krzaki, pomiędzy którymi dało się czasem zauważyć jasnożółte alejki. I w tym momencie zorientowałam się, czego brakuje na niebie: mimo że nie było na nim ani jednej chmury, nie było też słońca.

Początkowo pomyślałam sobie, że może słońce właśnie zaszło lub zaraz będzie wschodzić. Jednak linia horyzontu była doskonale widoczna i nigdzie nie zauważyłam nawet śladu czerwonej poświaty. Zresztą czas upływał i stopień jasności nie ulegał zmianie. Słońce nie mogło też schować się za jakieś wzniesienie czy inne ciało niebieskie, gdyż one po prostu tutaj nie

istniały. Nasuwał się zatem nieuchronny wniosek, że chyba nie jestem na Ziemi.

W klinice słyszałam kiedyś audycję radiową o innych planetach, ale one też musiały (o ile dobrze zrozumiałam) krążyć wokół swoich gwiazd. Naukowcy uczestniczący w nagraniu entuzjazmowali się przypadkami planet mających więcej niż jedno słońce. Natomiast tutaj liczba słońc była równa zero!

Tak byłam zajęta poszukiwaniem słońca za horyzontem, że nie zwracałam uwagi na to, co się dzieje obok mnie. W końcu spojrzałam i zobaczyłam, że nie jestem tu sama, bo trzy metry dalej siedzi na leżaku jakaś pani. Musiała prawdopodobnie słuchać jakiejś muzyki, bo założyła jedną nogę na drugą i tą w górze machała do rytmu. Dzięki temu zauważyłam natychmiast, że tuż nad kostką ma wytatuowaną koronę. Dlatego pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy była taka, że to jest królowa tej pięknej krainy i moja druga mama. W takim razie ja chyba byłabym królowną.

Przyjrzałam się ponownie siedzącej pani i oceniłam jej wiek na około 25 lat. Pomyślałam to i aż złapałam się za głowę ze zdumienia. Gdzie ja mogłam się nauczyć rozpoznawania wieku z twarzy? Z pewnością nie w klinice. I w ogóle dlaczego wzięłam tę istotę za człowieka rodzaju żeńskiego? Wszak nigdy dotychczas ludzi nie oglądałam. „Czy zatem był jakiś okres w moim życiu, którego teraz nie pamiętam?” – spytałam w duchu samą siebie i dodałam: „No, chyba że się mylę.”

Patrzyłyśmy tak na siebie; pani z lekkim uśmiechem, a ja z zafrasowaniem. „A może to jest moja prawdziwa mama?” – przemknęło mi przez głowę. Nie, przecież wtedy nie siedziałyby tak spokojnie. Natomiast mogłyby to być doktor Tereska z jej naukowym dystansem... Wreszcie doszłam do wniosku, że najlepiej było by zacząć z nią rozmowę. Upewniłabym się wtedy, że to jest kobieta, że to nie jest Paula (jej głos jeszcze dźwięczał w moich uszach), i może wyjaśniłaby mi, gdzie ja właściwie jestem.

Postanowiłam wcielić ten zamiar w czyn. Zbliżyłam się do leżaka i zagadnęłam uprzejmie:

– Przepraszam bardzo, czy może mi pani powiedzieć – w tym momencie coś mi się pokićkało i wypaliłam – ile pani ma lat?

– Dwadzieścia sześć.

– O, to jest pani młoda – stwierdziłam z satysfakcją, bo moje domysły okazały się trafne. Byłam teraz pewna, że to nie jest nikt z kliniki (choćaż tego, że to nie jest moja mama oczywiście żałowałam).

– Nie tak bardzo... – z nutką melancholii odparła pani. – Tutaj prawie wszyscy są młodzi.

– Tutaj – spytałam od niechcenia – to znaczy gdzie?

– Powiem ci, ale może spoczniesz – pani wskazała ręką na stojący obok drugi leżak. – Kiedy mówię osobom przybywającym z Ziemi, gdzie się

znaleźli, z reguły są kompletnie roztrzęsieni i gorączkowo szukają jakiegoś miejsca, aby usiąść.

Wobec tego postanowiłam udawać, że ja akurat nie jestem tym specjalnie zainteresowana. Usiadłam na leżaku, podziękowałam za zaproszenie i zapytałam:

– Czy może wie pani przypadkiem, kim jestem?

– Oczywiście. Masz na imię Ewa i jesteś zarodkiem.

– Ależ ja nie jestem już zarodkiem – wykrzyknęłam oburzona. – Ja mam ciało, prawdziwe ciało!

– Zarodkami nazywamy osoby, które nigdy się nie urodziły...

– Nigdy się nie urodziły... – powtórzyłam jak echo usiłując zrozumieć, co ten zwrot oznacza.

– Tak – kontynuowała pani – i otrzymały ciało dopiero w wyniku zmartwychwstania.

Nie znałam tego słowa; usłyszałam je po raz pierwszy. Ale wiedziałam, co to znaczy, że ktoś jest martwy, więc mogłam domyślić się, co to jest ‘zmartwychwstanie’.

– Jak to możliwe? – wykrztusiłam.

– Szczegółów technicznych nie znam – odpowiedziała pani. – Ja pochodzę ze starożytności.

– Ale jak ja tu się znalazłam?

– Anioły cię przyniosły.

Znow wystąpił nowy wyraz. Zorientowałam się, że nie powinnam od razu prosić o wyjaśnienie wszystkich. „No dobrze, założmy, że są tu jakieś anioły,” pomyślałam i zapytałam:

– Tak po prostu przyniosły i rzuciły?

– A ty byś od razu chciała, żeby grała niebiańska orkiestra i chór anielski śpiewał cudowną pieśń o zmartwychwstaniu pięknej Ewy? Ciebie akurat położyły delikatnie, ale na ogół rzucają byle jak na trawę. Człowiek ledwo co został wskrzeszony, a już ma siniaki.

Wydawało się to wszystko tak niewiarygodne, że postanowiłam ją dokładniej wy badać.

– Dlaczego to moje zmartwychwstanie odbyło się właśnie teraz? – spytałam.

– Z okazji czterotysięcznej rocznicy narodzenia Jezusa Chrystusa Ojciec Wszechdyrektor zarządził koniec świata na Ziemi i wszystkie zarodki otrzymały ciała.

Cieszyłam się, że siedzę, gdybym bowiem stała, to chyba bym upadła. Wiedziałam, że lata liczy się od tych narodzin i aktualny rok był kiedyś w klinice podany przez radio. Zatem, zakładając że to była prawda, od mojego pobytu w klinice minęło już prawie dwa tysiące lat! A przecież wszystko pamiętałam doskonale, tak jakby to było wczoraj, a najdalej przedwczoraj.

„A może,” pomyślałam, „to jest tylko dalszy ciąg tych fantomów, które widziałam tuż przed zamrożeniem? Nie, niemożliwe, przecież już się uszczypnęłam, a poza tym wszystko jest zbyt realistyczne.” Wyglądało na to, że sytuacja materialna moich rodziców nigdy nie poprawiła się na tyle, aby zdecydowali się na moje wszczęcie (później dowiedziałam się, że było trochę inaczej, ale wtedy tak myślałam). Ponieważ nikt nie zgłosił również chęci mojej adopcji, umarłam, a teraz zmartwychwstałam.

Istniała jeszcze jedna możliwość. Pamiętałam rozmowę taty z Tereską o tym, że zamrożone zarodki mogą zachowywać ważność nawet przez dwa tysiące lat. Może w jakiś sposób, np. w wyniku czyjegoś niedopatrzania, byłam zamrożona przez cały ten okres czasu i teraz zostałam przez te anioły nie tyle wskrzeszona ile odmrożona? No, ale to był właściwie tylko szczegół techniczny.

Było mi przykro, że okazałam się nikomu niepotrzebna, więc cichutko spytałam:

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie teraz jestem?

Moja towarzyszka wychyliła się ze swojego leżaka i pogłaskała mnie po kolanie.

– Nie martw się tak, moja królewno – powiedziała pieszczotliwie. – Jesteśmy w miejscu daleko lepszym od Ziemi. To jest raj zwany także niebem. A ja nazywam się Messalina, Waleria Messalina.

– To jak mam się do pani zwracać? – spytałam chcąc zyskać na czasie i przypomnieć sobie, co znaczy słowo ‘raj’.

– Oczywiście per ty oraz Waleria, chociaż gdybyś na przykład pisała jakiś pamiętnik, drugie imię, pochodzące od imienia mego ojca, może być lepsze.

Już wiedziałam, gdzie słyszałam ten wyraz. Tereska powiedziała kiedyś do nas: „Będzie wam tutaj tak dobrze jak w raju”. Wynikało stąd, że to miejsce musiało być rzeczywiście dobre. Uśmiechnęłam się więc uroczo do Messaliny i kontynuowałam nasz dialog:

– Czy ty, Walerio, witasz wszystkich przybywających do raju?

– A skąd, to zawsze były nieprzebrane rzesze ludzi. Do tego przeżywamy teraz prawdziwą inwazję zarodków. Polecono mi zaopiekować się tobą, Ewuniu, i dlatego tu jestem.

Rozejrzałam się dookoła i powiedziałam:

– Jakoś nie widzę tu nikogo oprócz nas...

– Bo raj również jest ogromny.

– Większy od Ziemi?

– Bez porównania.

– A powiedz mi, Walerko, dlaczego tu nie ma słońca? – spytałam wskazując ręką górę.

– Chodziło o to, żeby nie było cienia.

Zerwałam się z leżaka i usiłowałam zobaczyć, czy rzeczywiście nie rzucam cienia, podczas gdy Messalina obserwowała moje wygibasy. W pewnym momencie szepnęła do siebie (nie wiedząc, że ja po tych przejściach w klinice mam bardzo dobry słuch): „Archanioł Michał miał rację uprzedzając mnie, że oni zachowują się jak dzieci”, a następnie śmiejąc się rzekła:

– Nie może być cienia tam gdzie światło pada z każdej strony.

– Czyli tutaj świeci niebo? – spróbowałam wywnioskować siadając ponownie na leżaku.

– Tak, ale nie może być nieba w niebie. To co jest u góry, nazywamy polem. To nie ma wcale twardego... twardej...

– Konsystencji – podpowiedziałam. W czasie pobytu w klinice nauczyłam się wielu takich trudnych słów.

– Właśnie, nie ma twardej konsystencji – Messalina spojrzała na mnie z uznaniem.

– I świeci na niebiesko.

– Tylko dlatego, Ewciu, że dzisiaj jest wtorek. A na przykład w sobotę świeci na żółto, podczas gdy w niedzielę – pomarańczowo. I przebywając długo na świeżym powietrzu można się tym światłem nawet opalić, chociaż nigdy nie grozi nam oparzenie słoneczne.

– A skąd wiadomo kiedy jest noc, a kiedy dzień?

– Gdy anioły włączają pole zaczyna się dzień, a gdy wyłączają – noc.

To było faktycznie proste. Spróbowałam zatem wyciągnąć pewne wnioski dotyczące tego pola:

– Czyli jeśli ktoś na przykład straci przytomność, a potem ocknie się tam, gdzie niebo jest jasnozielone ...

– Tak, jest takie w środę – potwierdziła moja opiekunka.

– ... lub nawet niebieskie, ale bez słońca, to może być pewny, że znalazł się w raju?

– Dokładnie tak.

– Kto to wszystko wymyślił? – spytałam z niekłamanym podziwem.

– Ojciec Wszchedyrektor lub krótko Ojciec. To jest jedyna osoba w niebie, która liczy sobie więcej niż 33 lata.

– Czy to jest ktoś taki jak dyrektor kliniki? – spróbowałam nawiązać do pojęć lepiej mi znanych.

– Chyba tak – odpowiedziała niepewnie Messalina. – On jest znacznie potężniejszy od cesarza. Stworzył cały raj i decyduje o wszystkim.

I wtedy mnie olśniło. Przecież niebo jest na górze, a więc to właśnie on musi być tym osobnikiem z góry, który psuł nasze geny! Dobrze, że chociaż obecnie częściowo się zrehabilitował dając nam ciała.

W tym momencie przerwałam odpytywanie Messaliny, albowiem na czyściutkim dotąd niebie, przepraszam, polu pojawił się jakiś ciemny punkcik. Kropka zaczęła się powiększać, a potem rozdzieliła na kilkanaście

plamek, które dalej rosły, by wreszcie przekształcić się w sylwetki brodatych mężczyzn z białymi skrzydłami.

Kiedy brodacze zbliżyli się jeszcze bardziej, zauważyłam, że ubrani są w długie, sięgające poniżej kolan płaszcze w jaskrawym czerwonym kolorze. Dowódca miał wymalowany z przodu biały półksiężyc, a pozostali – białe gwiazdy. Przestraszyłam się, bo byli uzbrojeni; każdy z nich z nich trzymał włócznię lub coś w tym rodzaju. Głośno łopocząc skrzydłami, ten z półksiężycem obniżył się do wysokości kilku metrów, a ja czułam jak serce w piersiach wali mi ze strachu. Messalinę zlustrował z obojętnym wyrazem twarzy, natomiast gdy spojrzał na mnie, jego marsowe oblicze wyraźnie drgnęło, tak jakby ze zdziwienia. Jednak szybko opanował się i nic nie mówiąc grzecznie zaskłamał nam swoją kopią, a jego podwładni powtórzyli ten manewr.

Już wkrótce brodacze odlatywali, a my odczuwałyśmy na twarzach podmuch powietrza spowodowany przez ruch ich skrzydeł.

– Co to było? – krzyknęłam, ciągle jeszcze mimo wszystko dygocząc z przerażenia.

– Patrol archanioła Gabriela – odpowiedziała spokojnie Messalina. – Pewnie znowu ktoś uciekł z piekła; ostatnio zdarza się to coraz częściej. Gabriel ze swymi aniołami ściga takie osoby.

Zatem wiedziałam już, że ‘anioły’ to po prostu ludzie posiadający skrzydła i że nie trzeba się ich bać. Jednak natychmiast wystąpił inny problem:

– To takie miejsce jak piekło również istnieje? – spytałam z niepokojem, ponieważ z nieznanых przyczyn wyraz ten kojarzył mi się z czymś bardzo złym.

– Oczywiście. Byłam tam przez wiele lat.

– Ty, Walerciu, byłaś w piekle?

– Tak, Ewuniu.

– Dlaczego?!

– Zostało to spowodowane przez pewne nieporozumienia między mną a moim mężem – powiedziała Messalina z beztroską (udawaną, o czym przekonałam się za chwilę).

– A jak tam jest, w tym piekle? – zainteresowałam się, gdyż na relacjach damsko-męskich nie znałam się kompletnie.

– Jak w więzieniu. Bardzo nieprzyjemnie, mimo że oczywiście o żadnych torturach nie ma mowy; Ojciec na to nigdy by nie pozwolił. Jest za to ciemno, wilgotno i chłodno, ludzie tłoczą się przy ogniskach rozniecanych przez diabły (to takie piekielne anioły), żeby się choć trochę ogrzać.

– Ja się strasznie boję zimna.

– Najgorsza jest nuda. Wprawdzie raz w roku jest tam duża impreza zwana Wielką Letnią Manifą, ale to wszystko. A przecież ja nikogo nie zabiłam. Miałam więc siedzieć w piekle jak jakiś Hitler czy Stalin?

– Co zatem zrobiłaś? – spytałam zostawiając tego Hitlera i Stalina na później.

– Pisałam podania o zwolnienie, ale one nie dochodziły do Ojca Wszchedyrektora. Przechwytywał je Wicedyrektor Adam i odpowiadał mi: „Zbadaliśmy stan faktyczny. Rzeczywiście, córko, nikogo nie zabiłaś, ale niemniej jednak ciężko skrzywdziłaś męża swego.” Tak do mnie pisał ten Adam! Ja skrzywdziłam tego bydlaka, możesz to sobie wyobrazić?

– Nie mogę – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– No właśnie. Na szczęście, kiedyś Wicedyrektor był na urlopie i moje podanie dotarło do Ojca. On zaś jest bardzo dobry i polecił natychmiast mnie zwolnić.

– A gdzie jest twój mąż?

– Rzecz jasna w piekle i nieprędko stamtąd wyjdzie – odparła Messalina z mściwą miną. – Przecież on kazał zgładzić kilkaset osób. W celach politycznych, dla władzy.

W tym momencie przypomniało mi się, że w klinice Tereska opowiadała kiedyś koleżance fabułę sztuki teatralnej, w której główna bohaterka zdradza męża. Nie miałam pojęcia, co to znaczy, ale coś mnie podkusiło i postanowiłam popisać się znajomością tematu:

– Ty zdradziłaś swego męża, prawda, Walerko?

Efekt tego niewinnego pytania był zgoła nieoczekiwany. Moja opiekunka wybuchnęła płaczem i szlochając mówiła:

– To nie było tak, jak myślisz... To on pierwszy mnie zdradził... Zrobił to wcześniej z kobietą, którą poślubił po mojej egzekucji... Przecież nie zachowywałabym się tak głupio, gdyby mnie nie sprowokował...

Nie wiedziałam, jak ją pocieszyć. W końcu wychyliłam się ze swojego leżaka i pogłaskałam Messalinę po kolanie.

– Nie martw się tak, moja królowo – powiedziałam czule. – Ja ci wierzę. A poza tym przypuszczam, że to chyba było dawno temu...

– O, tak, Ewciu, – zgodziła się moja przyjaciółka szybko uspokajając się i ocierając łzy. – Prawie cztery tysiące lat temu.

Te słowa znowu mnie zelektryzowały. W klinice słyszałam kiedyś przez radio, że średnia długość życia ludzi na Ziemi wynosi mniej więcej 70 lat. A tu proszę, Messalina żyje sobie już tak długo!

– Jaka jest średnia długość życia ludzi w raj? – spytałam.

To pytanie przywróciło całkowicie dobry humor mojej towarzyszce, która śmiejąc się rzekła:

– Średnia długość życia? Nieskończona!

– Czy mogłabyś, Walerio, wytłumaczyć mi to przystępnie?

– Bardzo proszę, Ewuniu. Czy wiesz, co to są geny?

– Naturalnie. Na genach znam się chyba najlepiej.

– No więc, geny stworzył kiedyś Ojciec Wszchedyrektor dla potrzeb wykonywanych przez niego eksperymentów. Od razu powiedział też do swoich asystentów, tj. aniołów i diabłów, że żaden gen nie ma prawa mu zginąć. Dlatego jeśli jakiś człowiek umrze, to prędzej czy później musi zostać wskrzeszony.

– Ależ to wspaniałe! – wyrwało mi się.

– Tak, nazywamy to życiem bezkresnym i korzystamy z niego do woli.

Byłam strasznie tym zaintrygowana, bo w takim razie wariant z moim zmartwychwstaniem różnił się znacząco od tego z odmrożeniem. „Ach, żeby to była prawda!” pomyślałam i poprosiłam Messalinę:

– Czy mogłabyś jeszcze wyjaśnić mi to na przykładzie?

– Mamy w rajku normalne ciała. Oznacza to, że jeśli np. skoczysz w przepaść...

– Ja na pewno nie skoczę – zapewniłam.

– No to możesz się np. pośliznąć. Wtedy – cudów nie ma – ciało zostaje zniszczone, czyli zachodzi śmierć na miejscu. Jednak po pewnym czasie zmartwychwstajesz i znów cieszysz się urokami rajku, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

– Ale pamiętam, że spadłam w przepaść?

– Tak, pamiętasz to i wszystko co czułaś, gdy spadałaś.

„To takie buty...” pomyślałam. Byłam bardzo zadowolona, chociaż gdzieś tam w głowie nękała mnie jeszcze myśl, że miało miejsce tylko moje odmrożenie, a Messalina fantazjuje. Postanowiłam więc zbadać, czy nie popłaczę się w szczegółach i zapytałam:

– Jak długi jest okres czasu między śmiercią a zmartwychwstaniem?

– Może być rozmaity. W rajku przyjmuje się, że jeśli śmierć nastąpiła nie z twojej winy, anioły powinny cię wskrzesić najpóźniej za 40 godzin.

– Czyli jeśli umrę np. w piątek po południu...

– Wtedy zmartwychwstaniesz w niedzielę rano.

– To dość szybko – stwierdziłam.

– Dla zmarłego ten okres czasu jest zawsze króciuteńką chwilą.

– Tak, wiem coś o tym – zgodziłam się.

Wtem na polu znów pojawiły się anioły. Tym razem były tylko dwa osobniki ubrane w szare nocne koszule z różowym ukośnym pasem i wyposażone w także okrągłe czapki z daszkiem. Nie posiadały żadnego zarostu na rumianych puciołowatych buziach. Płynęły nieśpiesznie w górze rozglądając się dookoła. Jeden z nich miał w ręce coś w rodzaju tuby. Gdy tylko nas dostrzegł, przyłożył ją do ust i huknął w naszym kierunku:

– Uwaga, panie obok sadzawki! To jest obszar publiczny. Prosimy o założenie listków.

– Jaka sadzawka, jakie listki? – spytałam zdeorientowana.

– Cholerna obyczajówka – mruknęła Messalina. – Pewnie Gabriel im doniósł, że siedzimy tu bez listków.

– O co tu chodzi? – w dalszym ciągu nic nie rozumiałam.

– To jest figowiec – Messalina wskazała ręką na rosnące nieopodal drzewo.

– Zgodnie z przepisami obowiązującymi w raju musimy mieć przyłożony do ciała liść zerwany z takiej rośliny czyli tzw. listek figowy. Chodź, coś sobie wybierzemy.

Podeszliśmy do drzewa i moja towarzyszka zaczęła starannie je oglądać.

– Źle dobrany listek figowy może cię pogrubiać – wyjaśniła. – O, ten będzie dobry dla ciebie, a ten dla mnie.

Messalina zerwała dwa liście z figowca i podała mi jeden z nich.

– No nie, gdzie ty go przykładasz? – roześmiała się. – Nie do czoła, ale w tym miejscu.

– Tutaj nie za bardzo pasuje – stwierdziłam. – Może trzeba go czymś przykleić?

– Bynajmniej nie, po prostu lekko przyciskasz i puszczasz. Listek wie, co ma robić. Można z nim teraz np. siedzieć, chodzić, skakać, tańczyć, czy nawet biegać, a nie odpadnie. Jeśli zaś chcesz go zdjąć, to wystarczy pociągnąć za ogonek – zademonstrowała moja opiekunka. – A teraz zapraszam cię nad sadzawkę, przejrzymy się w tafli wody i zobaczymy, jak nam ten zielony przyrodziewek leży.

Kilkanaście metrów dalej faktycznie znajdował się niewielki okrągły zbiornik wodny o stromych brzegach otoczony metalową poręczą wspartą na słupkach pochylonych do wewnątrz. Dzięki temu mogłyśmy z łatwością obserwować swoje odbicia w krystalicznie czystej wodzie. Domyśliłam się, że to jest coś w rodzaju lusterka wspomnianego czasem przez panią doktor.

Chciałam przy okazji sprawdzić, co w moim wyglądzie tak zdumiało archanioła Gabriela, ale zobaczyłam po prostu normalną ciemnowłosą dziewczynę w wieku, tak na oko, 18 lat. „A może...” pomyślałam, „nie, Waleria też jest bardzo ładna”. Natomiast byłam od koleżanki trochę wyższa i posiadałam lepszą figurę. („Chyba odziedziczyłam to po mojej mamie,” przemknęło mi przez głowę, „w końcu dyrektor kliniki mówił o niej ‘bogini płodności’.”) Ponadto Messalina miała dość krótkie włosy, podczas gdy moje sięgały do pasa. Jednak to wszystko na pewno było bez znaczenia, ponieważ Gabriel wyraźnie patrzył się wtedy na moją twarz.

Moja przyjaciółka zauważyła, że przyglądam się sobie i rzekła z uznaniem:

– Będiesz, Ewuniu, mieć duże powodzenie u mężczyzn.

– Co to znaczy ‘powodzenie u mężczyzn’? – spytałam, chociaż troszeczkę już domyślałam się, co to może być.

– W tej chwili znajdujemy się w katolickiej części raju, a tutaj te sprawy nie są mile widziane. Ale często robimy wypadki do innych części i wtedy wszystkiego cię nauczę.

Wobec tego zmieniałam temat pytając:

- Jak mi ten listek leży? Czy nie wyglądam za grubo?
- Absolutnie nie, kochanie. Specjalnie wybrałam ci trochę szerszy.
- Dziękuję, Walerio. To jest moje pierwsze ubranie w życiu.
- No, tutaj nie będziesz stroić się zbyt często, chyba że na balach kostiumowych, bardzo zresztą w rajach popularnych. I życzę ci szczerze, abyś nigdy nie nosiła antylistka.

– Antylistka? – zdziwiłam się. – Co to takiego?

– Miałam go kiedyś na sobie – mówiąc to moja opiekunka, taka stara przecież wyjadaczka, zaczerwieniła się aż po szyję. – Wymyślił to jakiś lubiący się bawić fizyk erotoman. Zresztą wszyscy fizycy to najgorszy element w całym rajach. Pokażę ci antylistki, jak będziemy w klubie.

Nie wiedziałam kim są fizycy, ale czułam, że ważniejsze jest tutaj ostatnie słowo Messaliny. Słyszałam je po raz pierwszy i zupełnie nie wiedziałam, co oznacza. Nie chciałam jednak wyjść na nierozgarniętą i zapytałam ostrożnie:

– W klubie? A gdzie to jest?

– W rajach ateistów.

Masz babo placek! Kompletnie już zaskoczona spytałam:

– To jest jeszcze jakiś inny raj?

– Nie, raj jest tylko jeden. Ale zamiast mówić ‘ateistyczna część nieba’ używamy często skrótowego określenia ‘raj ateistów’.

– A kto to są ci ‘ateiści’?

– To są ludzie, którzy nie wierzą w istnienie Ojca Wszechdyrektora.

– Jak to nie wierzą? Są w rajach i nie wierzą?

– Źle się wyraziłam. Teraz już oczywiście wiedzą, że to jest fakt, ale nie wierzyli, kiedy jeszcze żyli na Ziemi.

– To jacyś głupcy – powiedziałam z przekonaniem. – Nie chcieli żyć nieskończenie długo?

– Kto by nie chciał – stwierdziła Messalina z nutką filozoficznej zadumy. – Chcieli, ale nie przypuszczali, że to jest możliwe bez cudów.

– A czy Ojciec nie pragnie mścić się na nich za to, że w niego nie wierzyli?

– Mścić się? On chyba nie wie, co to słowo znaczy. A z tego jak troszczy się o raj ateistów, można sądzić, że nawet bardziej ich kocha niż innych ludzi.

– Jak to możliwe? – zdziwiłam się niezmiernie.

Messalina zrobiła ruch rękoma, jak gdyby okropnie bolała ją głowa i odpowiedziała:

– Słuchaj, ja jestem tylko głupią byłą cesarzową. Ale spotkasz tu wiele osób mądrzejszych ode mnie i może one ci to wyjaśnią.

Nagle poczułam coś dziwnego, tak jakby ssanie, w górnej części brzucha. Nigdy przedtem czegoś takiego nie miałam. Dotknęłam miejsca gdzie to było najbardziej skoncentrowane i moja towarzyszka ten gest zauważyła.

– Widzę, Ewuniu, że doskwiera ci głód – powiedziała.
– Chyba tak – potwierdziłam. – Jak to się leczy?
– Tego się nie leczy – roześmiała się Messalina – tylko bardzo przyjemnie zaspokaja. Zobaczmy, co tam dzisiaj kuchnia przygotowała na kolację.

Moja przyjaciółka pochyliła się, zerwała niepozorny kwiatek rosnący na łące i coś do niego powiedziała. Po kilku sekundach trawa tuż obok nas rozstała się i na powierzchnię wyjechał prostokątny stół zastawiony różnymi rzeczami wydzielającymi rzeczywiście rozkoszne zapachy oraz dwa krzesła. Messalina gestem wskazała mi jedno z nich i gdy usiadłyśmy oświadczyła:

– Posiłek zawsze zaczynamy od jajek. Może skosztuj zatem tej pysznej jajecznicy z borowikami.

Z łatwością domyśliłam się, że ‘skosztuj’ znaczy ‘weź do ust’. Wobec tego chwyciłam dłonią sporą porcję ciepłej żółto-brązowej masy i wpakowałam ją sobie do buzi. Poczułam się naprawdę jak w siódmym niebie (ten zwrot słyszałam kiedyś przez radio w klinice), ale moja opiekunka była niezadowolona:

– Zdaje się, że ci smakuje, ale to trzeba jeść widelcem, o tym. Wytrzymaj łapki serwetką i spróbuj... A tu są świeżutkie bułeczki do zagryzania... Nie, je akurat bierze się ręką. Te tutaj są już z masłem... A do popicia mamy wino czyli specjalność rajów chrześcijańskich oraz soki. Widzę, że dzisiaj jest ananasowy i poziomkowy.

Dość szybko opanowałam te wszystkie zasady spożywania posiłków. Po jajecznicy jadłyśmy jeszcze (podaję na odpowiedzialność Messaliny): sałatkę z wędzonym jesiorem i figami, zupę migdałową z truflami, bażanta w sosie agrestowym z kluseczkami i zieloną sałatą, a na deser przepyszne lody waniliowe z różnymi owocami i orzechami. Wszystko zresztą było niezwykle smaczne, więc pomyślałam, że życie w raju jest faktycznie cudowne.

– To była wspaniała uczta – przyznałam.

– No pewnie, wszak jesteśmy w niebie. Natomiast w piekle jedzenie jest nadzwyczaj podłe; nawet legionieści mojego męża jadali lepiej.

– A kto przygotowuje te potrawy?

– Anioły. Ludzie w raju nie pracują, chyba że chcą. Na przykład, naukowcy czasem mówią, że nudzą się bez pracy, więc mogą kontynuować te swoje badania. Ja tam nie pracuję – Messalina podniosła ręce do góry, przeciągnęła się rozkosznie i uśmiechnęła do mnie szelmowsko – ale bynajmniej się nie nudzę.

Mnie wino nie smakowało, podczas gdy moja towarzyszka wypłała go dość dużo i chyba po nim zrobiła się tak wesolutka.

– A teraz Walercia zapali sobie papieroska...

To mówiąc sięgnęła po białą rurkę leżącą na tacy i coś do niej szepnęła. Rurka rozbłysła z jednej strony wiśniowym światelkiem, po czym Messalina drugi jej koniec wsadziła sobie do ust. Widziałam, że tym razem nie chodzi o jedzenie ani picie, a raczej moja przyjaciółka coś wdycha.

– Czy ja też mogę? – spytałam, bo na tacy leżało jeszcze kilka takich ‘papierosków’.

– Nie, przez dwa tygodnie bezpośrednio po zmartwychwstaniu nie wolno palić – to powiedziawszy Messalina wypuściła z ust w górę kółko niebieskiego dymu.

Doszłam zatem do wniosku, że ta czynność (choć roznoszący się z tego zapach był nawet przyjemny) jest istotnie jeszcze nie dla mnie. Tymczasem mojej opiekunce zebrało się chyba na wspomnienia, bo spytała:

– Czy chcesz wiedzieć, Ewuniu, jak ja trafiłam do rajy katolików?

– Bardzo jestem ciekawa.

– O tym zdecydowało moje zwolnienie z piekła. Diabeł, który mnie wypisywał (o ile dobrze pamiętam nazywał się Boruta, taki nieszkodliwy safandula), zapytał mnie, w kogo wierzyłam na Ziemi. Ja mu na to, że w Jowisza. No to on poszukał w katalogu i rzecze, że takiego nie ma. To ja mu mówię, że może jest Zeus, bo to właściwie to samo. A on na to, że o Zeusie słyszał, ale nie ma rajów pogańskich. W końcu wziął atlas, stuknął w przypadkowe miejsce pazurkiem i wypadło na niebo katolickie.

– I zgodziłaś się?

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że najlepiej jest w rajy ateistów, a ja jako poganka miałam prawo być tam skierowana. Poza tym chciałam jak najszybciej wydostać się z piekła, więc się zgodziłam.

– A powiedz mi, Walerciu, kim właściwie są ‘katolicy’?

– Nie wiesz? – Messalina najwyraźniej rozważała odpowiedź.

– Wiem tylko, że byli nimi moi rodzice.

– Katolicy to ludzie, którzy na Ziemi podlegali pod papieża.

– A tutaj?

– W rajy jest cała plejada papieży, a ponadto szereg z nich ciągle siedzi w piekle.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Ponieważ popełnili wiele zbrodni.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedziałam po krótkim zastanowieniu. – Z tego co mówisz wynika, że papieże byli przywódcami...

– ...religijnymi – odpowiedziała mi Messalina.

– Właśnie, przywódcami religijnymi. I popełniali zbrodnie? Czy oni też nie wierzyli w Ojca?

– Dokładnie tak było. Wprawdzie osoby mniej inteligentne i wpływowe mogły czasem naprawdę wierzyć, a jednocześnie dopuszczać się strasznych czynów, ale to nie był przypadek tych dostojników kościelnych. Oni uważali

religię za baśnie dla maluczkich i znakomity środek do realizacji swoich celów.

– Niesamowite – powiedziałam wstrząśnięta. – W takim razie musieli zdziwić się strasznie, gdy okazało się, że piekło jednak istnieje i czeka na nich.

– Tak, świetnie to ujęłaś – roześmiała się moja opiekunka. – Ale skoro już nie jemy, trzeba odesłać stolik. Wstajemy... Chodź tutaj, żebyś mi kochana nie zleciała.

Zauważyłam, że Messalina zapakowała niezjedzony prowiant do półprzezroczystej torebki. („Czyżby tu należało robić zapasy?” pomyślałam z lekkim zdziwieniem.) Następnie moja towarzyszka znów zerwała kwiatek z łąki i coś do niego powiedziała. Chwilę później ziemia, przepraszam, trawa ponownie się rozstała i stolik z krzeselkami zjechał w dół, a my wróciliśmy na leżaki.

Już wcześniej spostrzegłam, że obok nas rośnie krzak o żółtych kwiatach. Były też na nim duże czerwone kule, których nazwy i zastosowania nie znałam. Po kolacji mogłam już domyślić się, że są to owoce tej rośliny. Ponieważ czynność jedzenia bardzo mi się podobała (ssanie w żołądku całkowicie ustało), spytałam:

– Może byśmy zjadły te czerwone kulki?

– To są pomidory. Absolutnie nie wolno tego jeść; one rosną tylko dla ozdoby.

Wstałam, aby przyjrzeć się im dokładniej i po krótkim wahaniu zerwałam jednego dorodnego pomidora. Raptownie coś mnie podkusiło; mówiąc w myśli „Bum!” spuściłam go na głowę mojej opiekunki. Aczkolwiek od razu przeprosiłam głośno, szkoda była znaczna, bo owoc pękł zalewając czerwoną mazią śliczne czołko. Na domiar złego Messalinie papieros wyleciał z rąk spadając świecącym końcem na udo. Biedaczka syknęła z bólu i poderwała się z leżaka. Widziałam, że jest bardzo zagniewana, więc spodziewałam się, iż mnie zwymyśla lub nawet będzie jeszcze gorzej. Jednak ona również zerwała ogromnego pomidora i rozkwasiała go na moim biuście wołając ze śmiechem:

– A masz, ty psotnico, za moją krzywdę!

Ganiałyśmy wokół krzaka jak szalone i bombardowałyśmy się czerwonymi pociskami. Przy każdym trafieniu Messalina powtarzała swoje „A masz!”, natomiast ja krzyczałam „Buch!”. Fascynujący był ten pojedynek na pomidory; ach, jakże byłam w tym momencie szczęśliwa! Przypomniały mi się zabawy dzieci na podwórku koło kliniki, w których nie mogłam czynnie uczestniczyć, a za to tutaj w niebie byłam w samym centrum wydarzeń.

W dalszym ciągu mojej historii okaże się, że pomidory odegrały w niej jeszcze inną ważną rolę. I myślę, że skoro zostałam powołana do życia bez

narodzin oraz – co najbardziej dotkliwie – bez dzieciństwa, to z pewnością właśnie dlatego sięgnęłam wtedy po ten zakazany owoc.

Gdy nasze bomby były już na ukończeniu, usłyszałam męski głos:

– Widzę, że dobrze się bawisz, siostrzyczko.

Przerwałyśmy pojedynek i odwróciłyśmy się, aby spojrzeć kto to powiedział. Przed nami stał wysoki ciemnowłosy chłopak w moim wieku oraz drobna blondyneczka mająca, według mojej oceny, kilka lat więcej. Musieli przylecieć tu wielkim pomarańczowym balonem, którego gondola spoczywała na trawie kilkanaście metrów dalej.

– Ty jesteś Ewa, prawda? – zapytał chłopiec.

– Tak...

– A ja mam na imię Józef. Moja mama ma na imię Paula, a mój tata...

– Józio! – krzyknęłam – Józio, to ty?

– To ja – potwierdził Józio.

– Walerko, to jest mój braciszek, Józio bez nóg. Chciałabym go uściskać, ale jestem cała upaprana tymi pomidorami. Czy mam skoczyć do sadzawki?

– Nie, kochanie, zaraz załatwię coś lepszego – Messalina znów sięgnęła po kwiatek.

Wobec tego patrzyłam w dół spodziewając się, że coś wyłoni się z trawy, a tymczasem poczułam ciepłe krople na karku. Leciały z góry, chociaż na polu w dalszym ciągu nie było chmur. Widziałam też, że na stojących tuż obok Józia i blondynkę nic nie pada.

– Teraz możemy się wymyć – powiedziała moja przyjaciółka. – W czasie kąpieli listek wolno zdjąć... Ta niebieska pachnąca strużka jest z mydłem. Puszczają ją z boku, żeby nie gryzło w oczy.

Uważałam zatem, aby mydło nie dostało mi się do oczu, ale wystąpił inny dyskomfort. Miejsce, na którym przedtem był listek, zaczęło mnie boleć. Instynktownie rozluźniłam się i wtedy ból minął, ale z tej części ciała wyciekł jakiś płyn. Na szczęście, jako że dużo wody leciało z pola, nikt oprócz mnie chyba tego nie dostrzegł. Czułam, że to zdarzenie jest jakoś związane z sokami wypitymi przeze mnie przy kolacji, ale dla pewności postanowiłam później zapytać o nie moją towarzyszkę.

Gdy tylko uporaliśmy się z pomidorową mazią, woda przestała padać, a zamiast niej zaczął dmuchać ciepłutki wietrzyk. Czyściutka i suchutka uścisnęłam się serdecznie z Józkiem, a potem także z blondynką, ponieważ brat przedstawił ją mówiąc:

– To jest Karolina, moja dziewczyna.

– To zaś jest Waleria Messalina, moja opiekunka.

– Bardzo mi miło, wiele o pani słyszałem – rzekł Józio podając rękę byłej cesarzowej, której twarz po tych słowach aż pokraśniała z zadowolenia.

– Też bardzo się cieszę, mówmy sobie po imieniu.

Następnie Messalina znów załatwiła stolik, tym razem okrągły i tylko z napojami oraz kruchymi ciasteczkami.

– Napijcie się piwa? – spytała.

– Ja chętnie – zgodziła się Karolina.

– A ja nie mogę – powiedział Józio. – Poproszę wodę mineralną. Prowadzę balon.

– No tak – przyznała moja przyjaciółka – zwłaszcza, że święci Mikołaje ostatnio szaleją dając te swoje ‘prezenty’ dosłownie za byle co. A ty, Ewuniu, co pijesz?

– Nie wiem jak smakuje piwo, więc poproszę tylko troszkę do spróbowania.

– Jak cię znam, to będziesz woleć ambrozię, ale proszę, skosztuj najpierw piwka.

– A powiedzcie mi, kto to są ‘święci Mikołaje’? – spytałam nieco zaskoczona, z Ziemi bowiem ta nazwa kojarzyła mi się raczej dobrze.

– Drogówka.

Ta zwięzła odpowiedź Karoliny sugerowała, że jest to jakaś organizacja analogiczna do znanej mi już obyczajówki, więc poprosiłam o dodatkowe wyjaśnienie:

– Czyli to są anioły?

– W zasadzie tak – odpowiedziała Messalina – ale święci Mikołaje nie mają skrzydeł, ponieważ przeszkadzałyby im w pracy.

– Na przykład przy wchodzeniu przez komin?

W tym momencie wszyscy oprócz mnie roześmieli się, a Józio zapytał:

– Skąd ci to przyszło do głowy? Tu nie ma żadnych kominów.

– Chyba coś mi się poplątało – powiedziałam ugodowo. – A jak święci Mikołaje są ubrani?

– Noszą, oczywiście, czerwone płaszcze i czapki z białymi wypustkami.

– Dlaczego ‘oczywiście’?

– Ponieważ kolor czerwony jest znakiem stopu – twarz mojego brata przybrała bardzo mądry wyraz. – Na drodze jest to sygnał, że trzeba się zatrzymać.

– Zdaje się – spróbowałam zaoponować przypominając sobie rozmowy dzieci na podwórku – że ludzie na Ziemi wyobrażali sobie rolę świętych Mikołajów trochę inaczej.

– Mogli coś słyszeć, ale pogubili się w szczegółach. Chociaż nie jest wykluczone, że te cwane typy z drogówki dorabiały czasami na boku...

– Skąd ty, Józio, tak dobrze znasz się na życiu w niebie?

– Ja jestem tu już trzy miesiące.

– Myślałam, że wszystkie zarodki zostały wskrzeszone jednocześnie – powiedziałam spoglądając na Messalinę.

– To byłoby niemożliwe. Przepisy mówią, że każda osoba przybywająca do raju musi otrzymać opiekuna, a zarodków jest znacznie więcej niż narodzonych ludzi.

– Ty, Ewuniu, masz tu chyba duże chody. Dostać taką opiekunkę – Józio aż pokręcił głową patrząc na mnie z podziwem. – Moim opiekunem był nauczyciel z dziewiętnastego wieku, który miał trudności nawet z zalogowaniem się do sieci. Odprawiłem go po kilku dniach.

– I jak dałeś sobie radę?

– Poszedłem do czytelnicy.

„Ależ sprytna z tego mojego brata,” pomyślałam, „zawsze upadnie na cztery łapy.”

– A ja miałam – powiedziała Karolina – jakąś praczkę, która nawet w raju nie nauczyła się czytać i pisać. Mówiła, że nie odczuwa takiej potrzeby.

– Właśnie! – wykrzyknęłam. – Przecież przed pójściem do czytelnicy, Józio, musiałeś nauczyć się czytać.

– Od razu to umiałem.

– A ja chyba nie potrafię... – stwierdziłam smutno.

– Możemy to zaraz sprawdzić. Zobacz, tam na naszym balonie jest wypisana białymi literami jego nazwa. Spróbuj ją odczytać.

Spojrzałam i bez żadnych trudności przeczytałam „SZCZĘŚLIWOŚĆ”.

– Zgadza się – potwierdził brat.

A więc umiałam czytać! Postanowiłam przy pierwszej nadarzającej się okazji też pójść do czytelnicy. Natomiast jeśli chodzi o napoje, to była cesarzowa miała rację; piwo mi nie smakowało. Wobec tego z butelki z napisem „Ambrosia Light” nalała mi ciemnobrązowego, mocno pieniącego się płynu (który był rzeczywiście o niebo lepszy), po czym spytała:

– Dlaczego powiedziałaś, że to jest Józio bez nóg? Przecież widzę, że nic mu nie brakuje.

– Miałem bardzo poważną wadę genetyczną – odpowiedział za mnie brat – ale poprawił mi ją osobiście Ojciec Wszchedyktor w swoim laboratorium.

– Widziałeś Ojca?! – krzyknęłam podekscytowana.

– Nie, mówił mi o tym mój opiekun. To było jeszcze przed moim zmartwychwstaniem.

– Strasznie się cieszę, że tak ci się powiodło – powiedziałam – bo bardzo się martwiłam z powodu tych twoich nóg.

– A skąd w ogóle o nich wiedziałaś?

– Czy ty, Józio, pamiętasz coś z naszej kliniki na Ziemi? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– No skąd. Przecież byłem wtedy zarodkiem.

Zamyśliłam się głęboko próbując podsumować fakty. W klinice Józio był w bardzo kiepskim stanie; jego wszczepienie jakiegokolwiek kobiecie byłoby zbrodnią. Skoro nie mógł być wszczepiony, jego zamrożenie byłoby bez

sensu. Jeśli więc on – i to kompletnie zdrow – tutaj jest, to ta sprawa ze zmartwychwstaniem musi być prawdziwa. A z tego co powiedział przed chwilą wynika, że tylko ja słyszałam wtedy te głosy. Postanowiłam nie wtajemniczać Józia w tę nieprawdopodobną historię i zmieniłam temat.

– A czy któraś z was widziała Ojca? – zwróciłam się w stronę dziewczyn.

– Ja widziałam go kilka razy w czasie dużych uroczystości – powiedziała Messalina – ale z daleka.

– I jak on wygląda?

– Świetnie – odrzekła eks-cesarzowa i dodała marzycielsko: – Jest nieziemsko przystojny...

– A ty, Karolinko, widziałas go?

– Nigdy.

– Powiedz mi coś o sobie. Chyba nie jesteś zarodkiem, bo wyglądasz na jakieś 22 lata.

– Właśnie tyle mam. Jednak jestem zarodkiem, z tym że należę do podklasy płodów.

Musiałam zrobić bardzo okrągłe oczy, bo wszyscy lekko się uśmiechnęli, a Karolina kontynuowała:

– Płodami nazywane są w niebie zarodki, które zdołały zagnieździć się w macicy.

– Rozumiem – powiedziałam niezbyt zgodnie z prawdą. – Czyli byłaś wszczepiona?

– Nie, ponieważ ja nie pochodzę z in vitro.

– Ale skoro jesteś zarodkiem, to się nie urodziłaś?

– Dokładnie tak.

– Jak to możliwe?

– Istnieje coś, co nazywamy samoistnym albo sztucznym przerwaniem ciąży – wyjaśnił mi brat, który chyba rzeczywiście nie marnował czasu w czytelniku, a Karolina uszczegółowiła sprawę:

– Moja mama zdecydowała się na aborcję.

– Oj! – zawołałam domyślając się, że to jest ten drugi przypadek. – W takim razie masz chyba do niej duży żal?

– Wprost przeciwnie, jestem jej ogromnie wdzięczna. Dziękowałam mamie klęcząc przed nią i obejmując za nogi, po tym gdy wczoraj razem z Józkiem ją odnalazłam.

– Tak, bo poznaliśmy się przedwczoraj w kolejce przed Anielskim Biurem ds. Łączenia Rodzin – wtrącił brat.

– Chodzi o to – kontynuowała Karolina – że na skutek poważnej wady genetycznej moje życie na Ziemi byłoby jednym pasmem udręk. Uratowało mnie to, że mama była osobą bardzo religijną i wierzyła, iż gdzieś jest Bóg, który potrafi tak zorganizować życie pośmiertne, aby nie krzywdzić niewinnych dzieci.

– I trafiła w dziesiątkę? – spytałam, choć mogłam być pewna pozytywnej odpowiedzi.

– Tak, bo tutaj, tuż przed moim zmartwychwstaniem 19 lat temu, moje geny również naprawił osobiście Ojciec Wszechdyrektor.

– Czyli byłaś szczęśliwa?

– Niestety, nie.

– Dlaczego?

– W odróżnieniu od zarodków właściwych czyli takich jak ty i Józek, płody nie musiały czekać na koniec świata, a były (tak jak narodzeni ludzie, którzy zmarli nie ze swojej winy) wskrzeszane w ciągu 40 godzin po śmierci na Ziemi. Jak tylko zrozumiałam, kim i gdzie jestem, pobiegłam do pokoju widzeń ponadświatlnych i zobaczyłam na zajmującym całą ścianę ekranie moją biedną mamę...

– Co się stało?!

– Została oskarżona – Karolina miała łzy w oczach – o morderstwo swojej córki!

– Przez kogo?

– Przez złych ludzi. Mamusia doczekała na Ziemi końca świata i oni cały czas znęcali się nad nią. Wyobraźcie sobie, co ja czułam: byłam tu całkowicie zdrowa i pławiłam się w niebiańskim luksusie, a tam moja mama, właśnie za to że przyczyniła się do mojego wyleczenia, poszła do więzienia! Po kilku latach została wprawdzie zwolniona, ale nadal ją szykanowali.

– To strasznie niesprawiedliwe – powiedziałam współczująco. – Dlaczego to robili?

– Ich zachowanie było karygodne, ale może nie wiedzieli – spróbował odpowiedzieć Józio – że istnieje życie bezkresne?

– Mówili, że wierzą w życie wieczne – uzupełniła Karolina – a to jest przecież coś zbliżonego.

– Ach, więc to nie byli ateści – powiedziałam zdumiona do Messaliny. – Gnębili kobietę zakładając, że jej córka czyli rzekoma ofiara patrzy na to z góry... To chyba były jakieś potwory! Musieli bowiem wierzyć, że Bóg jest wszechmogący i dobry, a w takim razie to chore dziecko ma lepiej w niebie niż na Ziemi.

– A może – próbowała dociec jedyna poganka w naszym gronie – sądzą, że płód nie jest jeszcze człowiekiem, to znaczy nie ma tej, jak jej tam..., duszy?

– Niemożliwe. Przecież wtedy nie mogliby oskarżyć mojej mamy o morderstwo. A jeśli Bóg był w stanie wskrzesić jedną osobę dając jej prawdziwe ciało, może to robić, dokładnie w ten sam sposób, w odniesieniu do wszystkich ludzi. Myślę więc, że zabrakło im zarówno wiary jak i wyobraźni.

– W każdym razie – podsumował tę część rozmowy nasz mężczyzna – potrafi to robić Ojciec Wszechdyrektor i to bez uciekania się do cudów. Natomiast oni posiedzą w piekle znacznie dłużej niż 19 lat.

Zacząłam zastanawiać się, jak to jest, że Karolina przybyła do rajy dokładnie tyle lat temu i ma teraz lat 22, ale nagle przypomniałam sobie to, co brat mówił o łączeniu rodzin i zawołałam:

– Józiu, a co z naszą mamą? Chciałabym wreszcie ją zobaczyć!

– Spokojnie, siostrzyczko. Na placu przed tym biurem anielskim dzieją się obecnie dantejskie sceny. Twoje dane komputer wyrzucił natychmiast; otrzymałem informację, że zmartwychwstaniesz tu dzisiaj o szesnastej. Natomiast jeśli chodzi o innych członków naszej rodziny, to anioł obsługujący powiedział, żebym zgłosił się w przyszłym tygodniu.

– I dasz mi wtedy znać?

– Ma się rozumieć. A teraz musimy się już zbierać.

– Gdzie lecicie tym balonem? – zainteresowała się Messalina.

– Do rajy prawosławnego. Pojutrze odbędzie się tam bieg maratoński o Puchar Konstantyna Wielkiego. Chcę w nim wziąć udział.

– Myślisz, że dasz radę? – spytałam z niepokojem.

– Czuję straszną siłę w nogach. Przypuszczam, że wygram ten maraton.

Zaczęliśmy się żegnać, przy czym teraz także eks-cesarzowa całowała się serdecznie z naszymi gośćmi. Zauważyłam, że kiedy robiła to z bratem, wsunęła rękę pod jego listek figowy. Najwyraźniej sprawdzała, czy tam również Józiowi nic nie brakuje. Ja byłam tego pewna, ponieważ już w trakcie przywitania wyczułam brzuchem, że on ma pod listkiem dużo więcej niż ja, chociaż nie wiedziałam, co to jest.

Karolina i Józek wspięli po drabince do gondoli, po czym brat powiedział coś do pomarańczowej powłoki. Balon zaczął majestatycznie unosić się w górę, a my machałyśmy rękoma na pożegnanie. Gdy nasi goście byli wysoko na polu, skierowałyśmy się w stronę leżaków. Przyszło mi jednak do głowy, że jako siostra powinnam była pomachać im trochę dłużej, więc odwróciłam się i chciałam to nadrobić, ale balonu już nie było widać. Wydało mi się to bardzo dziwne; postawiłabym ostatnie pieniądze na to, że ten wehikuł nie może latać tak szybko.

– Jak daleko jest stąd do rajy prawosławnych? – zapytałam, gdy już usiadłam na leżaku.

– Jakies piętnaście tysięcy.

– Kilometrów? – poprosiłam o doprecyzowanie. Miałam pewne pojęcie o tej jednostce długości, ponieważ dyrektor kliniki był kiedyś dumny, że udało mu się przejechać samochodem ze stolicy do nas, czyli dystans ponad sto kilometrów, w niecałą godzinę.

– Czekaj, niech się zastanowię – powiedziała Messalina marszcząc czoło. – Nie, to by było za mało, w rajy są przeogromne odległości... Już sobie

przypomniałam, tu chodzi o lata świetlne... Tak, piętnaście tysięcy lat świetlnych.

Ta jednostka nic mi nie mówiła, a prawdę mówiąc o liczbie ‘tysiąc’ również miałam raczej mgliste wyobrażenie. Zatem w tej sprawie spytałam już tylko:

– To chyba będą długo lecieć?

– Myślę, że za dwie, góra trzy godzinki będą na miejscu – odrzekła beztrąsko była cesarzowa.

– A czy mogłabym cię, Walerciu, zapytać o coś związanego z naszym wyglądem?

– Tak, oczywiście, słucham.

– Bo tak patrzę na ciebie i widzę, że ty nie masz na ciele, poza rzecz jasną głową, żadnego włoska. A u mnie rosną włosy tu, i tu, i nawet tutaj...

– W raju wszystkie eleganckie panie chodzą skrupulatnie wydepilowane.

– No tak, gdyż to nawet znacznie lepiej się prezentuje – przyznałam. – A czy ja też mogłabym tak wyglądać?

– Jak najbardziej – zapewniła mnie moja opiekunka i wskazała ręką na rosnącą nieopodal dziwaczną roślinę. – Czy widzisz tamten owalny słupek z czerwonymi kwiatkami u góry?

– Tak.

– To jest kaktus depilator. Musisz na nim usiąść okrakiem i wtedy on cię wydepiluje.

Podeszłam bliżej i przyjrzałam się uważnie temu żółtawemu badyłowi o rozmiarach dużego stołka.

– Kwiatki są nawet przyjemne – powiedziałam. – Ale tutaj po bokach on ma okropne kolce. Czy to nie będzie bolało?

– Pamiętaj, że jesteś w niebie. Zdejmij tylko listek przed depilacją i siadaj śmiało.

Bardzo chciałam, aby moje ciało wyglądało tak jak u Messaliny, więc się zdecydowałam. Jak tylko dotknęłam pupą kwiatków, z kaktusa wyskoczyło kilkanaście takich jak gdyby szczoteczek na cienkich przegubach. Dwie z nich chwyciły mnie czule w pasie, abym się nie przewróciła, dwie inne zmusiły delikatnie do podniesienia łokci w górę, a pozostałe śmigły po całym ciele. Moja przyjaciółka miała rację; depilacja była całkowicie bezbolesna. Po skończonym zabiegu rączki kaktusa lekko mnie z niego zepchnęły i błyskawicznie schowały się do środka.

Mogłam teraz przyjrzeć się dokładniej fragmentowi mojego ciała przykrytego zwykle listkiem figowym. Zauważyłam, że jest tam jakaś szparka, co by tłumaczyło wylanie się tego płynu pod prysznicem. Ponieważ zorientowałam się, że Messalina widzi moje zainteresowanie tym miejscem, spytałam ją od niechcenia:

– Jak właściwie nazywa się ta część ciała?

– Jest kilka określeń, dokładnych lub bliskoznacznych – odpowiedziała moja opiekunka po krótkim zastanowieniu. – Np. srom, pochwa, vagina, czy też po prostu siuska... Inne nazwy jakie znam są już raczej wulgarne. Czy mam ci je podać?

– Nie, dziękuję, ‘siuska’ najbardziej mi się podoba.

– Tak myślałam – uśmiechnęła się Messalina.

– Czyli u mężczyzn to będzie chyba ‘susiak’?

– Dokładnie.

– A do czego one służą? – postanowiłam drążyć temat i wyjaśnić tę sprawę do końca.

– No, głównie – jak sama nazwa sugeruje – do sikania, ale także dają nam dużo rozkoszy. My, kobiety, mamy tam przecież w środku łechtaczkę nazywaną też ładniej clitoris, a na zewnątrz wzgórek łonowy czyli inaczej imienia pochodzącej z moich ziemskich czasów Wenery. Właśnie go zdepilowałaś.

I wtedy mnie olśniło. Przypomniałam sobie, że na Ziemi był kiedyś pożar w sąsiednim budynku i ktoś powiedział, że strażacy sikali z węzów wodą. A zatem ze słów Messaliny wynikało, że wylewanie płynu było normalną czynnością siuski! Byłam bardzo zadowolona, że się o tym dowiedziałam bez przyznawania, iż zrobiłam to już publicznie.

Nie miałam bladego pojęcia, kim jest Wenera, więc spytałam:

– Ty, Walerciu, znałaś tę panią od pagórka?

– Wenera alias Wenus była moją nauczycielką przez wiele lat – odparła cesarzowa z rozbawieniem.

Dla mnie to nie wydawało się zabawne; w końcu Józio też narzekał na nudnego nauczyciela z dziewiętnastego wieku. Natomiast jeśli chodzi o tę łaskotkę, to odczułam już przecież przyjemność – pierwszą i chyba największą w moim króciutkim życiu – z łaskotania stóp przez trawę. Mogłam zatem wyobrazić sobie upojne łechtanie tego wygolonego wzniesienia. W klinice słyszałam kiedyś przez radio słowo ‘szczytowanie’ i nie wiedziałam zupełnie, co ono oznacza, a chodziło najwyraźniej właśnie o to.

– Tak, rozkosz na Łysej Górze, słyszałam rzecz jasna – podsumowałam tonem eksperta uznając, że o siusce i organach przyległych wiem już wszystko. – A czy są jakieś inne zabiegi możliwe do przeprowadzenia dla naszych ciał?

– Oj, kochana! – wykrzyknęła Messalina. – Dobrze, że mi przypomniłaś. Miałam dzisiaj zrobić paznokcie.

– Co takiego? – zdziwiłam się.

– Manikiur i pedikiur – odrzekła cesarzowa całkowicie niezrozumiale, po czym wstała i zaczęła uważnie rozglądać się po okolicy. Po kilku sekundach

klasnęła w ręce z ukontentowaniem i stwierdziła: – Tam rośnie lakiernik pospolity. Chodźmy.

Lakiernik okazał się niewysokim drzewem o bardzo dużej liczbie różnokolorowych i intensywnie pachnących liści. Poniżej rozłożystej korony w pniu znajdowały się dwie dziuple: jedna tuż nad ziemią, a druga mniej więcej na wysokości ramion.

– Popatrz na mnie – poleciła moja opiekunka. – Trzeba najpierw wybrać kolor i zapach lakieru czyli zerwać jeden lub kilka listków... Potem należy włożyć dłoń do górnej dziupli i pomyśleć, jaki chce się mieć wzór na paznokciach... A teraz trzeba trochę poczekać, bo przed malowaniem on wykonuje także wszystkie niezbędne czynności kosmetyczne...

Po niespełna minucie Messalina pokazała mi efekty. Jej dłonie pięknie pachniały, a paznokcie miała polakierowane na kolor wiśniowy. Ponadto były na nich wymalowane złote literki układające się w napis ‘WILLA IGORA’.

– Co to znaczy? – spytałam zaintrygowana.

– Mieszkam tam. I ciebie też zapraszam.

– Dziękuję bardzo. A co ja mam napisać na paznokciach?

– Co chcesz, byleby to były dwa słowa pięcioliterowe.

Zmartwiłam się, bo znalezienie takich sensownych wyrazów wyglądało na arcytrudne zadanie. Wezwałam w myślach na pomoc mamę i ona od razu mi pomogła: jej imię jest przecież pięcioliterowe! A za chwilę stwierdziłam, że brat też dobrze się spisał, bo jego imię zachowuje pięć liter nawet przy różnych odmianach! Wobec tego zażyczyłam sobie ich imiona, podczas gdy kolory i zapach miały być takie same jak u Messaliny, ale coś nie wyszło; na palcach otrzymałam jakieś bohomazy.

– Za słabo się skupiłaś – wyjaśniła moja przyjaciółka – i drzewo nie rozpoznało, o co ci chodzi. Najlepiej zrobisz, jak przeliterujesz te słowa w myśli.

Zastosowałam się do rady i druga próba była już udana. Obejrzałam dłonie z różnych stron i zaobserwowałam, że te zmyślne literki ustawiają się tak samo niezależnie od kąta patrzenia. Ponieważ nawet ich kolejność była elastycznie dopasowywana, przyjąłam, że w dalszym ciągu wchodzi tu w grę jakieś oddziaływanie z mózgiem.

Potem robiłyśmy paznokcie u nóg, oczywiście przy pomocy dolnej dziupli. Tym razem cesarzowa zawinszowała sobie złote krzyżyki na wiśniowym tle mówiąc:

– Ten wzór jest w tej części rajy mile widziany na pamiątkę pewnego historycznego zdarzenia, które miało miejsce cztery tysiące lat temu.

Nie wypadało mi zamawiać dokładnie tego samego, więc krzyżyki kazałam drzewu malować na prawej nodze, a tymczasem usiłowałam przypomnieć sobie jakiś inny możliwy wzór dla nogi lewej. W końcu znalazłam; na duży

palec dałam złoty półksiężyc z płaszcza archanioła Gabriela, a na pozostałe – gwiazdy z płaszczy jego podwładnych.

– O, widzę, że ty masz otwarty pogląd na świat – stwierdziła Messalina. – Mogłabyś zrobić wielką karierę w Dyrekcji Generalnej; tam wysoko cenią takie osoby.

– A dlaczego powiedziałaś – spytałam – że to drzewo jest pospolite? Przecież robi takie piękne rzeczy...

– Ponieważ jest jeszcze lakiernik szlachetny. On nie rośnie w tych stronach, ale ma dużo większe możliwości.

– Jakie?

– Materiały wideo i animacje z fonią.

– Co to takiego?

– Ruchome trójwymiarowe obrazki plus dźwięk, a nawet telewizja, która w systemie ekranowym przetrwała w rajku tylko w tej formie. Wiele ludzi (gdyż mężczyźni też często z tego korzystają) odbiera podgląd dziesięciu programów naraz.

– Ale co da się obejrzeć na takim małym ekraniku?

– W rajku każdy ma sokoli wzrok, a poza tym to jeszcze nie wszystko. Pokażę ci, jak to działa. Zbliź wybrany palec do czoła i zamknij oczy na sekundę... A teraz otwórz... Co widzisz?

– Ogromną złotą literę Ó na wiśniowym tle.

– No właśnie. A teraz połóż palec na ustach i znów zamknij oczy... Otwórz... Co widzisz?

– Ciebie.

– Tak się włącza i wyłącza rajską telewizję; nie potrzeba do niej żadnych odbiorników. Każdy film lub program na żywo oglądasz tak, jak gdybyś była w miejscu akcji lub centrum wydarzeń, podczas gdy w rzeczywistości leżysz sobie na przykład wygodnie na tapczanie i coś podjadasz.

– To bardzo ciekawe. Czy mogłabyś mi to zademonstrować?

– W przypadku lakiernika pospolitego nie ma podglądu, ale można od razu włączyć wybrany kanał pod warunkiem, że jego numer jest wypisany na paznokciu. Masz tam może wymalowaną jakąś cyferkę?

– Nie mam.

– A małpę?

– Też nie mam. Do czego służy małpa?

– Do logowania w sieci. Powiem ci na marginesie, że moim zdaniem w rajku życie realne jest ciekawsze od wirtualnego.

– A bez lakieru nie można oglądać telewizji?

– Można, ale trzeba mieć pilotkę.

– Chyba pilota – poprawiłam cesarzową pamiętając, że kiedyś w klinice szukała go na dyżurze pani doktor.

– Nie, pilotkę. To taka czapeczka. Mając ją na głowie wystarczy pomyśleć nazwę stacji.

W tym momencie przypomniało mi się, że gdy pierwszy raz zobaczyłam Messalinę, zdawała się słuchać jakiejś muzyki, chociaż nie było przy niej żadnych urządzeń. Aby to potwierdzić, spytałam:

– Czy radia też można słuchać bez odbiornika?

– Jak najbardziej, większość stacji radiowych i urządzeń odtwarzających nadaje na tej samej zasadzie. Ale, Ewuniu, my tu gadu-gadu, a czas płynie. Powinnyśmy już wracać do domu, a przed drogą musimy jeszcze zaopatrzyć się w buty.

– Buty?

– Oczywiście. Widziałaś chyba, że Karolina i Józef mieli obuwie.

– Tak – przyznałam, bo nasi goście faktycznie mieli coś na stopach – ale myślałam, że to jest potrzebne tylko w balonie.

– Boso daleko byśmy nie zaszły; nie wszędzie jest taka wspaniała trawa jak tutaj. Poza tym buty mają systemy wspomaganie i pozycjonowania.

– Jakie systemy? – nie rozumiałam.

– Dzięki wspomaganiu możesz iść szybko nawet wtedy, gdy jesteś bardzo zmęczona. A pozycjonowanie zabezpiecza nas przed zabłądzeniem.

– W jaki sposób?

– Buty wydzielają nieprzyjemny zapach, jeśli idziesz w złym kierunku. Mamy nawet takie dosadne powiedzenie: „Śmierdzą mu buty”, co oznacza, że ktoś zachowuje się niewłaściwie.

– A ty mogłabyś zabłądzić?

– W dzień nie, zwłaszcza że willa Igora jest niedaleko od tej równiny, lecz w nocy na bosaka mogłabym nie trafić do domu. Musiałybyśmy prosić o pomoc anioły, a oni potrafią być wtedy bardzo nieuprzejmi.

– Ale jeszcze zdążymy przed nocą?

– Na pewno. Jednak na wszelki wypadek powinnyśmy załatwić sobie obuwie.

– Tylko jak mamy to załatwić na tym pustkowiu? – zmartwiłam się, podczas gdy Messalina znów rozglądnęła się po okolicy.

– Nie ma problemu, bo niedaleko rośnie kłapkowiec – powiedziała pogodnie. – Zobaczmy, co tam na nim dojrzewa.

Kłapkowiec był bogato rozkwieconym krzewem, na którym zamiast owoców kołysały się rozmaite buty. Zwróciłam też uwagę na fakt, że korony jego wielobarwnych kwiatów były skierowane do dołu, chociaż nie wyglądały na zwiędnięte.

– Wybierz coś sobie – zachęciła mnie cesarzowa.

– Dlaczego one nie są parami? – spytałam pamiętając, jak wyglądało obuwie naszych gości.

– Te egzemplarze są eksponowane tylko w celu dokonania wyboru. Gdy któryś z nich ci się podoba, po prostu go zrywasz, a pomocnik krzaka przynosi ci parę do założenia.

– A czy nie muszę przymierzać? Bo przecież ludzie mają stopy różnej wielkości...

– Klapkowiec cały czas nas obserwuje i wymierza przy pomocy tych swoich tulipanów. W rezultacie otrzymasz parę idealnie dopasowaną do twoich stóp.

– Które buty najlepiej nadają się do biegania? – spytałam wspominając plany Józia.

– Może ten trampek? – zaproponowała moja opiekunka.

Bucik naprawdę mi się podobał, więc go zerwałam. Po krótkim czasie trawa niedaleko nas się zakotłowała, piasek wysypał się w górę i z powstałej dziury wyskoczył jasnoszary łysy czworonóg. Nie był bardzo duży; właściwie tylko taki, aby przewiązane czerwoną wstążką pudełko niesione przezeń w pysku nie ocierało się o trawę. Łysek podbiegł do mnie, delikatnie położył paczkę u moich stóp i podniósł łepkę spoglądając na zerwany pantofel.

– Oddaj mu go – powiedziała Messalina.

Oczywiście zrobiłam to, chociaż byłam zafascynowana widokiem pierwszego zwierzęcia w moim życiu. (W klinice słyszałam rozmowy dzieci o swoich pupilach.) Pomocnik klapkowca chwycił trampek i szybko schował się w swojej jamie.

– Jak nazywa się ten zwierzak? – zagadnęłam.

– Nie mam pojęcia. To chyba jakiś mutant stworzony tylko do tego celu. Żyje w symbiozie z klapkowcem.

– Co to za sznurki? – spytałam nakładając buty.

– To sznurowadła. Nie musisz ich zawiązywać; one mają własny napęd, chociaż służą prawie wyłącznie do ozdoby.

Rzeczywiście, zaraz po założeniu pantofli sznurowadła same zawiązały się w ładne kokardki. Bałam się, że moim obutym stopom będzie za gorąco, ale okazało się, że jest nawet chłodniej. Żałowałam tylko, że mój śliczny pedikiur przestał być widoczny.

– A ty co weźmiesz? – zapytałam.

– Wzięłabym klapki, ale jednak do chodzenia – jakie nas czeka – lepsze są zwykłe sandały.

Obuwie istotnie wyglądało całkiem zwyczajnie; myślałam, że ma tylko jedno skórzane zapięcie. Tymczasem po założeniu okazało się, że tych zapięć jest kilkanaście, sięgają cesarzowej prawie do kolan i do tego mają wycięte dość fikuśne kształty.

– To nie są prawdziwe skórzane paski – wyjaśniła Messalina widząc moje zainteresowanie. – Sandały mają zamontowane – o ile dobrze pamiętam –

projektory holograficzne wyświetlające obraz na nodze. A te wzory i kolory są teraz najmodniejsze; pewnie już przyszła informacja z centrali.

– Z jakiej centrali?

– Obuwniczej.

– Aha... W takim razie każdy może mieć ten najnowszy fason...

– Nie, bo co sezon zmieniane jest hasło, które otrzymują klapkowce do przekazania swoim owocom. W rezultacie niedbaluchy chodzące w starych butach wyglądają niemodnie.

– To jest w sumie bardzo podobne do sytuacji na Ziemi – stwierdziłam, ponieważ przypominałam sobie rozmowy Teresy z jej koleżankami na temat mody.

– Tak, ale tam trzeba było wyprodukować fizycznie nowy model pantofla, podczas gdy tutaj podstawa buta pozostaje niezmieniona, a wszelkie nowinki są dodawane elektronicznie. Ponadto w ramach obowiązującej rajskiej mody każdy krzak przemycy swój indywidualny rys.

– Paski na twoich łydkach wyglądają na wypukłe... – zauważyłam z niekłamanym podziwem.

– Bo takie rzeczywiście są, ale możesz sprawdzić dotykiem, że tam jest tylko światło.

– A dlaczego u mnie nic się nie wyświetla? – spytałam po sprawdzeniu (moje palce rzeczywiście przeszły przez paski bez żadnego oporu).

– W przypadku obuwia sportowego obowiązują inne reguły. Na Ziemi musiałabyś do tramppek założyć skarpety lub coś w tym rodzaju, a tutaj nie jest to potrzebne. Prawdopodobnie czujesz już działanie automatycznego systemu zapobiegania poceniu się stóp. Natomiast jeśli naciśniesz lekko prawe lub lewe sznurowadło, na nogach wyświetlą ci się skarpetki lub odpowiednio podkolanówki.

Zrobiłam tak i okazało się, że deseń na wiśniowych podkolanówkach dokładnie odzwierciedla wzory na moich paznokciach u nóg! A zatem nic nie straciłam. Ponadto dopiero wtedy zrozumiałam, że pedikiur Messaliny był również wyświetlany; jej sandał miał – w momencie zrywania – zamknięty przód.

Rozdział 2

Ucieczka z piekła

Już wkrótce maszerowałyśmy rażno w naszych butach żółtą alejką. Po kilkunastu minutach otoczenie zaczęło się zmieniać; trawa zdrobniała, alejki zaś przekształciły się w polne drogi o ciemnej nawierzchni. Ponadto zwiększyła się liczba krzaków i drzew, aż wreszcie po lewej stronie pojawił się gęsty las. W pewnej chwili dobiegł nas stamtąd cichy aczkolwiek wyraźny głos:

– Walerio, to ja, Margaret...

Messalina drgnęła, ale natychmiast opanowała się i powiedziała do mnie szeptem:

– Nie zatrzymuj się. Idziemy, jak gdyby nigdy nic...

Szłyśmy więc, a po mniej więcej minucie głos znów się odezwał:

– Czekam na was w starej szopie, za dwadzieścia metrów...

– Jak powiem ‘teraz’ – szepnęła do mnie cesarzowa – skacz za mną na lewo nad rowem... I wchodzimy do tej szopy... Tylko szybko!

– Postaram się – zapewniłam też szeptem.

Po kilkunastu sekundach rzeczywiście zobaczyłyśmy wejście do niskiego drewnianego budynku, którego główna część ginęła w gęstwinie drzew. Messalina dała półgłosem umówiony sygnał i już po chwili byłyśmy w środku.

– Cześć, kochanie – rzekła cesarzowa z wyraźnym wzruszeniem.

– Cześć – odpowiedział słyszany już głos.

W szopie panował półmrok, ponieważ światło z zewnątrz dochodziło tylko przez szpary między deskami. Z tego powodu nie byłam w stanie od razu zobaczyć, kto i co w niej jest. Gdy mój wzrok przywykł do ciemności, zauważyłam, że na ścianach wiszą trofea myśliwskie i broń, przy pomocy której te zwierzęta prawdopodobnie upolowano. Znajdowały się tam także plakaty z fotografiami jakichś osób i wielkimi napisami ‘WANTED’ (domyśliłam się, że oznaczają one poszukiwanie tych ludzi). Poza tym powietrze było przesiąknięte niezbyt miłym zapachem czegoś.

Tymczasem Messalina witała się serdecznie z dość wysoką blondynką mającą 25 lat (byłam już w zasadzie pewna, że moje oszacowania wieku ludzi są prawidłowe).

– To jest Ewa, a to Margaret – przedstawiła nas po chwili cesarzowa, a my podałyśmy sobie ręce.

– Proszę, siadajcie – Margaret zaprosiła nas do wielkiego stołu stojącego pod ścianą. Gdy siadałam na ławie, przez chwilę moja twarz znalazła się blisko plakatu i wtedy stwierdziłam ze zdumieniem, że jest tam zdjęcie gospodyni!

– Znowu uciekłaś – powiedziała Messalina patrząc na Margaret z lekkim wyrzutem.

– Nie wytrzymałam. Czy macie, kochane, coś do jedzenia?

– Oczywiście – odrzekła cesarzowa otwierając torebkę z pozostałościami po naszej kolacji.

– Nic nie jadłam od trzech dni – wyjaśniła blondynka rzucając się na prowiant. – Nie licząc jagód z lasu i tego cholernego czosnku...

– A nie mogłaś zerwać kwiatka? – spytałam.

– Walerio... – mówiła z pełnymi ustami Margaret. – Powiedz mi... Kto to jest?

– Zarodek. Pierwszy dzień życia.

– Ach, tak, rozumiem... – nowopoznana dziewczyna spojrzała na mnie miękko. – Nie domyśliłam się, bo w piekle nie mamy zarodków...

– Ale co się stało? – powróciła do poprzedniego tematu Messalina.

– Mefistofeles zaczął się do mnie przystawiać.

– Mefisto? – uśmiechnęła się cesarzowa. – Co chcesz, moja droga, przecież to prawdopodobnie najprzystojniejszy diabeł w całym piekle. A gdyby nie ten jego róg, wyglądałby jak normalny mężczyzna.

– Tak, ale właśnie to implikuje takie zachowania seksualne – Margaret wyglądała na bardzo zawziętą – których ja nie akceptuję.

– A ty wiesz, że ja tego Mefistofelesa spotkałam dopiero tu w raju? Był w klubie na gościnnych występach.

– To by się zgadzało – potwierdziła blondynka – bo on nie był w piekle od początku. Jego imię wystąpiło po raz pierwszy w literaturze na Ziemi dopiero w szesnastym wieku. Tysiąc lat później Ojciec przeczytał przypadkowo jeden z tych utworów. Książka mu się chyba podobała, gdyż postanowił zmutować genom typowego diabła zgodnie z podaną charakterystyką i tak powstał Mefisto.

– No rzeczywiście, ja byłam już wtedy wolna. A w jaki sposób uciekłaś tym razem?

– Zgłosiłam się do pracy w kuchni. W końcu wyjechałam stamtąd ze śmieciami biorąc ze sobą karton mleka i skrzynkę czosnku.

– Ukradłaś z kuchni mleko? – spytałam ze zgrozą, ponieważ z rozmów w klinice pamiętałam, że jest ono smacznym napojem zalecanym zwłaszcza dla dzieci.

– Nie ukradłam, tylko wzięłam – odpowiedziała spokojnie Margaret, najwyraźniej przyzwyczajona do takich absurdalnych zarzutów. – Gdybym nie uciekała, mogłabym je wypić na śniadanie.

– Że wzięłaś mleko, to rozumiem – przyznała Messalina. – Ale po kiego czorta targałaś ze sobą ten czosnek? Nawet tutaj go czuć.

– Bo jeszcze wszystkiego nie zjadłam. A czosnek jest niezwykle ważny...

– Dlaczego? – wtrąciłam.

– Ściga mnie archanioł Gabriel ze swoją bandą...

– Wiemy – rzekła moja opiekunka.

– Nawet ich dzisiaj widziałyśmy – dodałam.

– No właśnie. A oni strasznie boją się czosnku. Jeśli mnie dopadną, będę się bronić – Margaret była nastawiona bardzo wojowniczo.

– Życzymy ci serdecznie – powiedziałam łagodnie – aby do tego nie doszło. Oni są uzbrojeni.

– A jak zamierzasz dalej uciekać? – spytała Messalina.

– Czekam tutaj na zapadnięcie nocy...

– Dlaczego właśnie tutaj? – znów przerwałam Margaret, gdyż chciałam koniecznie wyjaśnić zagadkę tego plakatu z jej podobizną.

– Doszłam do wniosku, że najciemniej jest pod latarnią. Ta szopa jest miejscem odpoczynku Gabriela i jego zastępców. Jednakże przychodzą tu wyłącznie wtedy, gdy nikogo nie ścigają.

– Bardzo sprytnie – pochwaliła tę strategię cesarzowa. – Ale co zamierzasz zrobić w nocy?

– Z tamtej strony szopy znajduje się suche jezioro. Będę musiała je okrążyć, aby dostać się do Wąwozu Siedmiu Męczenników, którym przejdę aż nad Świętą Rzekę. Jak wiadomo, kursuje po niej jedynie Tęczowa Arka kapitana Noe, który serdecznie nie cierpi Gabriela. Dlatego myślę, że uda mi się go uprosić, aby przewiózł mnie na drugą stronę do rajów religii azjatyckich. I wtedy będę już uratowana.

– Dlaczego?! – wykrzyknęłyśmy obie prawie jednocześnie.

– Od czasu gdy Ojciec zezwolił na stosowanie reinkarnacji w niebach azjatyckich, panuje tam taki bałagan, że Gabriel nigdy nie będzie w stanie mnie znaleźć.

W tym momencie z góry dał się słyszeć męski głos wzmocniony przez megafon:

– Tu mówi Gabriel. Margaret, jesteś otoczona. Nie próbuj dalej uciekać, bo nie masz najmniejszych szans. Gra skończona. Opuść tę szopę wyjdź od strony suchego jeziora z rękoma podniesionymi do góry. I tylko bez żadnych sztuczek!

– Przeklęte sukinkoty! – jęknęła ścigana.

– Psiakość słoniowa! – wytwornie (być może ze względu na mnie) zakląła cesarzowa spoglądając bojaźliwie w górę.

– Pupa spięta! – zakląłam z rezygnacją. Żadne zwierzęta nie przyszły mi do głowy, więc wymyśliłam naprędce przekleństwo zaczynające się przynajmniej na te same litery. Początkowo chciałam rzec „Pupa błada!”, ponieważ słyszałam kiedyś coś podobnego w klinice. Być może czytelnik zgodzi się, że moja wersja jest zbliżona emocjonalnie. Ponadto skoro pupa może być wypięta (jakaś dziewczynka skarżyła się mamie na podwórku, że Krzyś wypięł na nią tyłek), to chyba można też powiedzieć coś kompletnie przeciwnego.

– Co robimy? – spytała cicho Messalina.

– Przede wszystkim potrzebne mi są nowe buty – nasza uciekinierka zachowywała spokój. – Nie, nie twoje, Walerciu; Ewa ma o wiele lepsze i do tego o podobnym rozmiarze. Pożyczysz mi?

– Oczywiście.

– Musicie mi także dać listek, bo ja – jako osoba i tak wyjęta spod prawa – go nie noszę.

Cesarzowa sięgnęła do podbrzusza, ale Margaret powiedziała:

– Twój jest troszeczkę za mały.

– Przecież moje rozmiary bioder są mniej więcej takie same jak twoje...

– Tu nie chodzi o wygląd. Jeszcze raz poproszę Ewunię...

Rzecz jasna zgodziłam się. Margaret przymierzyła moje trampki i okazało się, że pasują nieźle, aczkolwiek projektory nic nie wyświetlały. Potem podeszła do skrzynki z czosnkiem, wybrała największą główkę i schowała ją pod mój listek.

– Ty naprawdę chcesz z nimi walczyć? – spytałam.

– Teraz widzę, że nosząc na nogach stare buty nie miałabym szans, ale w tych twoich wspaniałych trampkach...

– Margaret, pośpiesz się! – zawołał z góry Gabriel – bo będziemy szturmować szopę...

– Już wychodzę! – wrzasnęła uciekinierka, a do nas rzekła cicho: – Spróbuję.

– Kochanie – powiedziała Messalina głosem pełnym drżenia – może lepiej się poddać? Przecież oni mogą cię skaleczyć... zadać ci ból... A później uciekniesz znowu...

– Nie pora drzeć – stwierdziła zdecydowanie Margaret i otworzyła drzwi szopy wychodząc na zewnątrz. My oczywiście wysunęliśmy się ostrożnie za nią.

Trwało chwilę, zanim moje oczy przyzwyczyły się do jasności. Jakieś sto metrów przed nami na nieco niższym poziomie rozpościerała się głęboka misa suchego jeziora. Chociaż faktycznie nie było w nim wody, strome brzegi wykluczały możliwość przejścia przezeń do widocznego dokładnie naprzeciw nas wejścia do Wąwozu Siedmiu Męczenników, jedyne go wylotu w otaczających jezioro skałach.

Gabriel i jego podwładni unosili się nieopodal na wysokości kilku metrów, podczas gdy Margaret szła do nich wolniutko w moich trampkach z rękoma podniesionymi do góry.

– Ale się boją tego czosnku – zauważyła Messalina z satysfakcją. – Pozakładali maski przeciwgazowe!

Rzeczywiście, zastępcy Gabriela mieli coś na twarzach, natomiast sam archanioł trzymał fason przerzuciwszy niedbale maskę przez skrzydło. Jednak dało się wyczuć, że coś niesamowicie ekscytującego wisi w powietrzu. Wszyscy, anioły i ludzie, z napięciem oczekiwali na to, co się wydarzy.

– Dlaczego oni mogą utrzymywać się nieruchomo w powietrzu – spytałam, aby choć trochę zdusić to okropne zdenerwowanie – nawet bez poruszania skrzydłami?

– Bo mają, o ile dobrze zapamiętałam, ciemną energię w kościach. Podobno Ojciec odkrył kiedyś metodę regulowania, w ramach biologicznej przemiany materii, ilości ciemnej energii. Włączył ją później do genomu aniołów.

– Wytlumacz mi to jaśniej...

– No, po prostu umożliwił aniołom na tworzenie ciemnej energii z wdychanego powietrza i wydalanie jej w razie potrzeby też przez układ oddechowy.

– Może dlatego oni są tak wrażliwi na zapach czosnku – wyraziłam przypuszczenie, aczkolwiek nie miałam zielonego pojęcia, co to jest ta ciemna... coś tam.

– Tak, możliwe, że czosnek zakłóca im działanie tego mechanizmu, zwłaszcza że diabły mogą jeść tę przyprawę w dowolnych ilościach, a oni przecież nie latają. Jak by nie było, skrzydła są aniołom potrzebne tylko do zmiany położenia w płaszczyźnie poziomej.

Nagle Gabriel zakomenderował:

– Stań! Zzuj buty, wiesz, że można to zrobić bez pomocy rąk... Teraz obróć je lewą ręką podeszwami do góry i mocno potrząśnij... Prawa cały czas w górze... Po kolei jednym i drugim... Wystarczy... I niestety muszę cię prosić, abys zdjęła, również lewą dłońią, listek...

– Margaret jest jeszcze za daleko – szepnęła Messalina z nutą rezygnacji w głosie. – Ten cholerny zawodowiec...

– W porządku – kontynuował spokojnie Gabriel – możesz dla odpoczynku położyć ręce z tyłu głowy... Obróć się do mnie tyłem... I ponownie przodem w moją stronę... Rozstaw szerzej nogi... Dobrze, a teraz jeszcze otwórz usta i wysuń język.

Nasza koleżanka wypełniała te polecenia, a archanioł lustrował ją bacznie choć z odległości kilkunastu metrów. Trzeba przyznać, że nie miał łatwego zadania, ponieważ Margaret na pewno już dawno nie korzystała z usług

kaktusa. W każdym razie, gdy stała przodem do nas z listkiem w dłoni, nie mogłam dostrzec u niej tej główki czosnku.

– ...o wszystkim pamięta – dokończyła cesarzowa, aczkolwiek raczej z zadowoleniem w głosie. I miała rację, bo lustracja zakończyła się pozytywnie.

– Świetnie, możesz już zamknąć usta, umocować listek i założyć pantofle przy użyciu lewej ręki... Tak, i idź dalej – rozkazał dowódca oddziału dodając grubiańsko – ale łapy cały czas w górze!

Gdy Margaret była już blisko archanioła, nagle potknęła się. Instynktownie opuściła ramiona, aby zamortyzować upadek i zupełnie niechcący strąciła prawym łokciem listek, po czym lewą ręką chwyciła główkę czosnku i z całej siły cisnęła ją w kierunku twarzy Gabriela. Następnie oczywiście w ogóle nie upadła, ale nie oglądając skutków swojego zamachu puściła się biegiem wąską (dlatego nie zauważyłam jej wcześniej) ścieżką między jeziorem i skałami.

Tymczasem my skakałyśmy do góry i biłyśmy brawo krzycząc z radości.

– Widziałaś?! – zawołała do mnie Messalina. – Spóźnił się minimalnie z reakcją. Bo jednak o czymś zapomniał...

– O czym?

– W czasie lustracji kazał Margaret trzymać stale prawą rękę w górze. Jej się bardziej obawiał i dlatego na nią głównie patrzył. Ale Maggie jest leworęczna!

– No tak – powiedziałam poważnie – za błędy trzeba płacić.

I znów roześmiałyśmy się serdecznie.

– Pierwsza runda zdecydowanie dla nas – podsumowała moja przyjaciółka przybijając ze mną piątkę.

Rzut był zaiste celny; pocisk trafił archanioła w krzaczastą brew nad prawym okiem rozpryskując się na wszystkie strony i wypełniając powietrze swoim intensywnym zapachem. Niebiański szeryf chyba stracił przytomność, bo leżał poziomo w powietrzu twarzą do góry wirując wolno wokół swego pępka (o ile anioły go mają). Natomiast jego zastępcy zbili się w kolistą gromadkę obejmując się wzajemnie ramionami i machając bosymi stopami. Wyglądało to tak, jak gdyby się naradzali lub dodawali sobie otuchy.

Pierwszy doszedł do siebie mimo wszystko Gabriel wołając z wielkim sińcem nad przymrużonym okiem:

– Sandalfon, do mnie!

Gdy wywołany zastępca wyrwał się z kręgu skrzydlatych towarzyszy i zbliżył, jego dowódca rzekł:

– Ty latasz najszybciej z nas, więc popędzisz za nią... I zdejmij już tę maskę; ona nie ma więcej czosnku.

– A jeśli ma? – roztropnie zapytał Sandalfon.

– Nie ma, bo gdzie mogłaby go schować?

– Z drugiej strony...

– Nie bój się, gdyby tam płytko schowała jakiś ząbek, to w czasie biegu już dawno by jej wypadł, choćby nie wiem jak się spięła. Natomiast jeśli przesunął się dalej, nie będzie na razie w stanie go wyjąć.

– A też z przodu, tylko głębiej?

– Teoretycznie to możliwe – przyznał Gabriel. – Ale wtedy zauważysz, gdyby chciała coś stamtąd wydłubać. I daję ci licencję na dowolny atak wyprzedzający.

– Znałem kiedyś taką jedną, która potrafiła...

– Ty mi tu nie opowiadaj o tych swoich znajomych z saloonu „Eldorado”. To jest porządna dziewczyna; była swego czasu premierem rządu dużego kraju na Ziemi. I musisz się pośpieszyć, bo jak wbiegnie do wąwozu, to po tej stronie rzeki już jej nie złapiemy. Wiesz przecież, że kapitan Noe nas nie znosi.

Ja naturalnie niewiele z tego zrozumiałam, chociaż bardzo chciałam, aby okazało się, że Margaret ma jeszcze gdzieś czosnek schowany na czarną godzinę. Czyżby, pytałam sama siebie, moje przekleństwo „Pupa spięta!” miało naprawdę jeszcze jakiś inny bardziej fizyczny sens? I co oznacza ten zwrot „tylko głębiej”?

Tymczasem uciekiniarka mknęła w moich trampkach niczym błyskawica. Sandalfon nie był w stanie lecieć z większą prędkością, lecz poruszał się w linii prostej, więc wkrótce stało się jasne, że przetnie drogę naszej koleżanki daleko przed wejściem do wąwozu.

Messalina miała rację twierdząc, że w niebie wszyscy mają dobry wzrok. Chociaż odległość była już duża, widziałam Margaret całkiem dokładnie. Ponadto, gdy tak się w nią wpatrywałam, nagle coś mi w głowie przeskoczyło i zobaczyłam ją w powiększeniu. Przestraszyłam się bardzo, więc natychmiast powiedziałam o tym cesarzowej pytając ją, czy nie jest to przypadkiem objaw jakiejś choroby, ale moja opiekunka uspokoiła mnie mówiąc:

– To jest zoom cyfrowy. W raju wszyscy ludzie mają go w mózgu od zmartwychwstania.

– Aha... – odrzekłam kompletnie bez zrozumienia, lecz właśnie dzięki temu liczbowemu... coś tam potrafię opisać szczegółowo to, co się teraz wydarzyło.

Sandalfon zbliżył się do biegnącej i najwyraźniej zamierzał chwycić ją za przedramię. Otworzył dłoń i gwałtownie zamknął, lecz złapał powietrze, albowiem Margaret w ostatniej chwili zobaczyła, co się święci i zrobiła unik ręką.

Wobec tego anioł zmienił taktykę i postanowił chwycić naszą koleżankę za lewą stopę, tę od strony jeziora. Byłby tego niechybnie dokonał, gdyby nie fakt, że się potknęła, tym razem naprawdę, i w celu uchronienia się przed

upadkiem próbowała łądować jednocześnie na obu nogach. W rezultacie Sandalfon uderzył tylko dłonią w wierzch jej lewego trampka, co z kolei pociągnęło za sobą dwie ważne konsekwencje.

Przede wszystkim Margaret odzyskała równowagę i bez upadku biegła dalej. Drugi fakt był jeszcze bardziej brzemienny w skutki; pod wpływem dotknięcia lewego sznurowadła projektory wyświetliły moje podkolanówki. I tak już zdenerwowany Sandalfon zobaczył nagle na łydce ściganej znak swojego komendanta! W efekcie zapatrzył się, zapomniał o sterowaniu i lekko zboczył z trasy, co wystarczyło, aby zarył się z impetem w ścianie misy jeziora.

Podniósł się wielki tuman kurzu. Gdy opadł, stało się jasne, że dla Sandalfona ta gra była już naprawdę skończona. Biedak miał złamane jedno skrzydło, a na drugim bezradnie wisiał wbity w piasek. Chyba nawet nie muszę pisać, że ponownie skakałyśmy do góry i biłyśmy brawo piszcząc z uciechy jak dzieci. Cieszyłyśmy się tym bardziej, że wejście do zasnutego kłębamii mgły wąwozu było już dość blisko.

– Dlaczego wyświetliły się moje podkolanówki – spytałam cesarzową – a nie coś innego?

– Margaret nie ma pedikiuru. Te projektory dysponują pamięcią i w takiej sytuacji wyświetlają ostatni obraz.

Popadłam na chwilę w zadumę nad niezwykłymi zbiegami okoliczności, który tu zaszły. Przecież gdybyśmy tuż po moim zmartwychwstaniu nie spotkały patrolu Gabriela, nie mogłabym kazać lakiernikowi wymalować znaku archanioła na dużym palcu mojej lewej nogi. A gdybym nie wpadła na ten pomysł, nasza koleżanka byłaby już schwytana... Natomiast szybkobieżne trampki mogłam jej pożyczyć tylko dlatego, że przedtem odnalazł mnie Józio i powiedział o tych planowanych zawodach.

– Czy ona już im teraz ucieknie? – wyraziłam pytaniem nader ostrożną nadzieję.

– Tak – odpowiedziała radośnie Messalina, ale po chwili rozpaczliwie jęknęła – o matko!...

– Co się stało?! – krzyknęłam zdezorientowana, bo Margaret biegła nie zwalniając tempa.

– Gabriel będzie ją łapał na lasso!

– Dlaczego to jest niedobrze? – z ogromnym niepokojem próbowałam coś z tego zrozumieć.

– Bo on jest niedościągłym mistrzem w tej konkurencji. Jedyne nadzieje, że za pierwszym razem nie trafi, gdyż rzucić więcej niż jeden raz na pewno już nie zdąży.

Gabriel wznosił się pionowo trzymając w rękach bardzo długi sznur zakończony pętlą. W tym momencie przypomniałam sobie, że coś

podobnego wisiało na ścianie szopy pośród egzemplarzy innych rodzajów broni.

Znów coś przeskoczyło mi w głowie i mogłam spostrzec, że prześladowca Maggie nie używa skrzydeł, ale oddycha głęboko, aby poruszać się do góry jak najszybciej. Zatem moja opiekunka miała rację z tym ciemnym mechanizmem.

Tymczasem pani premier niemal dobiegała do wąwozu. W pewnym momencie archanioł rzucił, a my z zapartym tchem śledziłyśmy na tle pola lot rdzawobrunatnego powroza. Niestety, limit błędów szefa ochrony raję został już najwidoczniej wyczerpany. Margaret była dosłownie trzy metry przed zbawiennym przesmykiem skalnym, kiedy spadła na nią ta pętla zaciskając się wokół bioder. (Naszych okrzyków „Uważaj!” i „Pochyl się!” chyba w ogóle nie usłyszała.) Biedaczka usiłowała jeszcze rozerwać sznur, ale rzecz jasna nie była w stanie dać rady. W końcu upadła na kolana i płacząc waliła ze złości pięścią w glebę.

Byłyśmy smutne i przybite, podczas gdy Gabriel z zastępcami już bez pośpiechu poleciał do naszej nieszczęśliwej koleżanki. Wsadzili ją razem z moimi trampkami do żelaznej klatki tak wąskiej, że Maggie musiała stać. Jednak po chwili archanioł nakazał to ciasne lokum wymienić; okazało się, że miał szacunek dla pani premier, bo druga klatka była znacznie przestronniejsza i zrobiona ze złota.

Następnie dwóch chwyciło rannego Sandalfona pod pachy i cały oddział spokojnie odleciał. Margaret zdążyła jeszcze klepnąć się w biodro i podnieść kciuk do góry sygnalizując nam, że fizycznie jest z nią wszystko w porządku, co choć trochę poprawiło nam humory. Pomachałyśmy jej rękoma, a potem wróciłyśmy do szopy.

Rozdział 3

Pijaństwo

– Skąd wiedziałaś – spytałam Messalinę, gdy tylko znów usiadłyśmy za stołem – że to właśnie Maggie uciekła z piekła? Bo przecież to dla niej wzięłaś ten prowiant w torebce...

– Dokładnie, moja droga Ewo. To było proste – powiedziała cesarzowa sztucznie pogrubionym głosem, a potem kontynuowała już normalnie. – Gabriel widział z daleka, że siedzą dwie kobitki, a mimo to podleciał, by nas sprawdzić. A z kobiet – których zresztą jest w piekle o wiele mniej niż mężczyzn – ucieka najczęściej Margaret... Czy tobie, kochana, też tak zaschło w gardle?

Gdy potwierdziłam, okazało się, że Messalina ma jeszcze kilka butelek wina i dwie szklaneczki, które skwapliwie napełniła. Byłam tak zdenerwowana, że wypiłam swoją duszkiem, a cesarzowa poszła za moim przykładem, po czym połała znowu.

– Szkoda mi bardzo tej dziewczyny... – rzekłam smutno. – Była już tak blisko wąwozu.

– Jednak i tak nie miała szans. Nie chciałam jej martwić, ale posiadała złe informacje. Wprawdzie Adam rzeczywiście zezwolił na reinkarnację w rajach religii azjatyckich, lecz gdy Ojciec się o tym dowiedział, natychmiast jej zabronił.

– Co to właściwie jest ta ‘reinkarnacja’?

– Zamiana ciał – wyjaśniła Messalina i widząc moją głupią minę dodała – no, na przykład, jak ty miałabyś moje ciało, a ja twoje...

– Oj, – zareagowałam emocjonalnie – to bardzo dobrze, że Ojciec tego zabronił!

– Też tak uważam – zgodziła się moja opiekunka.

– Dlaczego właściwie Maggie trafiła do piekła? – spytałam. – Nie wygląda na morderczynię... Czy ona też miała jakieś zatargi z mężem?

– Nie, to nie jest ten przypadek. Po prostu Algorytm dał jej wynik ujemny. Wprawdzie niewielki, ale jednak.

– Co to jest ‘Algorytm’?

– To program komputerowy oceniający – na podstawie twojego życia ziemskiego – czy masz iść do piekła, czy pozostać w raju. Archanioł Michał

lubi sugerować, że to on go napisał, chociaż w rzeczywistości autorem jest Ojciec, a Michał go tylko obsługuje.

Niezbyt dobrze wiedziałam, co to jest ‘program komputerowy’, ale czułam, że to może być ważne i postanowiłam dążyć temat.

– Czy zarodki też ten Algorytm ocenia?

– Tak, ale dla nich wynik jest zawsze zerowy.

– Dlaczego?

– Bo w ich przypadku nie ma żadnych zdarzeń, na które mogliby mieć jakikolwiek wpływ.

– A jakie zdarzenia są brane pod uwagę?

– Ojcu chodziło o to, aby ludzie nie krzywdzili się wzajemnie. Każda krzywda wyrządzona innemu człowiekowi jest punktowana ujemnie i Algorytm to sumuje.

– Tylko człowiekowi? A co ze zwierzętami?

– Zwierzęta jako istoty żywe również stworzone przez Ojca korzystają z pewnych praw ludzi. Nie należy ich dręczyć ani zabijać bez potrzeby.

– Czy są też zdarzenia punktowane dodatnio? – kontynuowałam zbieranie informacji o Algorytmie.

– Naturalnie. Wprawdzie morderstwa z premedytacją zasadniczo nie można niczym zrównoważyć, ale mniejsze krzywdy mogą być zniwelowane dobrymi uczynkami lub niezawinionym cierpieniem np. z powodu choroby.

– A jeśli ktoś został ukarany już na Ziemi, gdyż na przykład siedział w więzieniu lub wypowiadał się? – spytałam przypominając sobie, że o spowiedzi mówił coś kiedyś w klinice mój tata.

– Spowiedź czy też pokuta polegająca na modlitwach nie jest żadną karą i się nie liczy. Szczery żal lub skrucha mogą dać trochę plusów. Natomiast wyroki sądów ziemskich są badane. Jeśli ktoś był ukarany długoletnim ciężkim więzieniem lub torturami zakończonymi śmiercią, to nawet umyślne zabójstwo może mu zostać darowane.

– A jak jest punktowane chodzenie do kościoła? – znów wspomniałam ostatnią rozmowę rodziców.

– Uczestnictwo w obrzędach jest – bez wątpienia – źródłem przyjemności dla uczestnika, a więc Algorytm Twojego Życia (bo taka jest oficjalna nazwa tego programu) nie przyznaje za to punktów dodatnich. Z drugiej strony nie daje też ujemnych, albowiem każdy może robić to co lubi, o ile tylko nie krzywdzi przy tym innych ludzi mających te same prawa.

– Tylko ludzi? A jeśli ktoś skrzywdzi Ojca Wszechdyrektora?

– W jaki sposób? – zdziwiła się cesarzowa.

– No, na przykład, nie przestrzega postu – wymieniłam ten przypadek, gdyż jako pierwszy przyszedł mi do głowy.

– Ojciec miałby człowieka wrzucać do piekła za to, że ten coś zjadł? – odrzekła pytaniem moja przyjaciółka i zaraz sama sobie odpowiedziała. – Musiałby zwariować...

– Ten człowiek? – spytałam dla pewności.

– Nie, Ojciec oczywiście.

– A jeśli ktoś w inny sposób go obrazi...

– Jego nie można obrazić.

– Jak to nie można? – teraz z kolei ja zdziwiłam się bardzo.

– Nie można – powtórzyła kategorycznie Messalina. – Słuchaj, czy twoja ulubiona kotka, gdybyś ją miała, mogłaby cię obrazić?

– No nie, ale to dlatego, że nie potrafiłaby mówić.

– A gdyby napisała łapką na piasku „Jesteś okropną żołą”, obraziłabyś się?

– Nie, ale chciałabym się dowiedzieć, dlaczego tak uważa.

– To już inna sprawa. Biuro anielskie robi czasem w rajach ankietę, gdzie są również pytania dotyczące Ojca.

– Czyli lubi, aby go chwalono – stwierdziłam przekornie.

– Absolutnie nie – zaprzeczyła gorąco moja opiekunka. – Chodzi tylko o udoskonalenie życia w niebie. Natomiast na pochwałach ludzi na Ziemi, na tych wszystkich śpiewach po kościołach, Ojcu całkowicie nie zależało. No bo jak to by wyglądało: stworzył ludzi, aby go chwalili?

– Ale może ludzie chcieli mu się odwdziżyć?

– W ten sposób? Po co Ojcu były potrzebne pochwały ludzi? Czyżby nie wiedział, że zrobił im dobrze?

– To jak ktoś mógłby mu podziękować? – spytałam zauważając w myśli, że przez chwilę rozmawialiśmy pocieszenie tylko przy użyciu pytań.

– Żyjąc tak jak Ojciec chciał. Bo gdy ktoś modli się żarliwie i śpiewa pobożnie, a po wyjściu z kościoła krzywdzi innych ludzi słowem lub czynem (np. kłamie, obraża, kiepsko pracuje albo lichy płaci za wykonaną pracę, zanieczyszcza środowisko, znęca się nad rodziną, nie płaci podatków bądź wydaje pieniądze z zebranych podatków na bzdurne cele, czy też wreszcie wyłudza od organów państwowych rzekome należności pieniężne), to jest to... to jest to... – Messalina zastanawiała się nad doborem odpowiedniego słowa – po prostu oszukaństwo.

Musiałam się zgodzić z argumentacją mojej przyjaciółki i tylko w celu wyjaśnienia spytałam:

– Dlaczego wśród tych przewinień nie wymieniłaś kradzieży?

– To jest oczywiste i bardzo ogólne określenie znajdujące się w tak zwanym dekalogu czyli inaczej mówiąc wśród dziesięciorga przykazań. Natomiast niektóre z czynności podanych przeze mnie były przez pewne osoby uważane za naturalne i wynikające z wolności. Na przykład,

przedsiębiorca mający spore zyski wypłacał głodowe pensje pracownikom i uzasadniał to neolibe...

– Neoliberalizmem – podpowiedziałam, bo słyszałam to słowo w audycji radiowej, której zresztą kompletnie nie rozumiałam.

– Właśnie. Twierdził zatem, że stosuje się do reguł gry rynkowej, bo nikt w pobliżu nie dałby im zatrudnienia. On może i nie kradł, ale na pewno krzywdził tych ludzi wykorzystując położenie, w jakim się znaleźli...

– A kto był pokrzywdzony przez te podatki lub pieniądze wyłudzone od państwa?

– Wszyscy obywatele. Ta wymyślona przez Ojca zasada o niewyrządzaniu krzywdy innym sprawdza się naprawdę w każdej sytuacji.

– Czyli ta reguła jest lepsza od dekalogu?

– Jest przede wszystkim prostsza, bo można ją wyrazić jednym zdaniem. No i nie zawiera instrukcji związanych z oddawaniem czci boskiej, której Ojciec zupełnie nie potrzebuje. Ponadto dzięki temu można to правило postępowania stosować do wszystkich ludzi.

– A czy jest ono używane również wobec ludzi, którzy już są w raju?

– Tak, archanioł Michał wykonuje okresową kontrolę przy pomocy Algorytmu i bardzo sporadycznie zdarza się, że niektórzy głupcy są kierowani do piekła.

Postanowiłam sprawdzić, czy dobrze wszystko rozumiałam i po chwili przedstawiłam owoc swego przemyślenia:

– Czy to uniwersalne przykazanie mogłoby brzmieć „Nie czyn krzywdy ludziom i zwierzętom mającym identyczne lub odpowiednio podobne w ograniczonym zakresie prawa co ty.”?

– Widzę, że masz (w przeciwieństwie do mnie) duże zdolności językowe. Tak, wspaniale to sformułowałaś. Gdyby wszyscy ludzie przestrzegali tego przykazania, życie na Ziemi byłoby piękne jak w niebie. Nie byłoby kradzieży, korupcji, wyzysku, przemocy, morderstw, wojen i całego tego barbarzyństwa.

– A jeśli ktoś twierdzi – przyszła mi do głowy pewna wątpliwość znów związana z wysłuchaną audycją radiową – że on nie potrzebuje żadnych przykazań, gdyż postępuje zawsze zgodnie ze swoim sumieniem?

– Jeśli to jego sumienie prowadzi do krzywdy innych ludzi, to on może wsadzić je sobie w tyłek – Messalina wyraźnie się wzburzyła, ale natychmiast opanowała się i zapytała spokojnie: – Opowiedzieć ci pewną historię?

– Tak, oczywiście.

– Byłam jeszcze w piekle, gdy anioły Gabriela przywiozły dwóch braci, którzy zabili dwunastu dziennikarzy za to, że zdaniem tych morderców pisali i rysowali nie to co trzeba...

– Aż dwunastu?! – przerwałam poruszona do głębi. – W jaki sposób?

– Ci dranie wdarli się do redakcji czasopisma i wystrzelali pół personelu. W piekle przyjmował ich sam Lucyfer, a on zawsze udaje dobrego diabła, pełnego zrozumienia dla biednych potępieńców. Wtedy też niby zdumiał się strasznie, że Algorytm dał im aż tak duży wynik ujemny. Zachęceni jego wyrozumiałością i serdecznym podejściem bracia zaczęli tłumaczyć, że po prostu postąpili zgodnie ze swoim sumieniem i to na pewno jest jakaś pomyłka.

– Ty to słyszałaś osobiście?

– Tak, bo właśnie byłam w gabinecie Lucyfera ze swoim podaniem o zwolnienie.

– I co Lucyfer postanowił?

– On sam nic postanowić nie mógł, bo nie posiada takiej władzy, ale ma specjalną linię telefoniczną do Ojca. Udając bardzo przejętego połączył się z nim i przedstawił sprawę wspominając o czystym sumieniu morderców. I wiesz, co Ojciec zrobił?

– Troszkę się domyślałam...

– Tylko on i wicedyrektor Adam (który jest człowiekiem najdłużej żyjącym w raju) mogą zmieniać wyniki Algorytmu. W tym przypadku Ojciec kazał pomnożyć ten ich negatywny rezultat przez dwa.

– Czyli warto wiedzieć, że on nie lubi, gdy ktoś powołuje się na swoje sumienie...

– Ojciec tego nie znosi, bo to jest przecież uzurpacja...

– Uzurpacja? – spróbowałam podpowiedzieć.

– Tak, uzurpacja jego kompetencji. Bo chociaż niektórzy z tych dziennikarzy też nie byli bez winy, ludzie nie mają prawa wyręczać w takich sprawach Ojca. Później dowiedziałam się, że dał także naganę Lucyferowi za nieszczerze zachowanie w jego obecności, ale kara dla braci pozostała – Messalina mówiła to z widocznym ukontentowaniem. – Posiedzą w piekle dwa razy dłużej.

– A ci dziennikarze?

– Co ‘dziennikarze’?

– No, mówiłaś, że też byli trochę winni...

– Tak, bo obrażali wiele osób, które wcale na to nie zasłużyły. Ale ponieważ zostali już na Ziemi ukarani niewspółmiernie do swoich czynów, Algorytm musiał im dać dużo punktów dodatnich i wszyscy poszli od razu do nieba.

– Te wydarzenia wywołały z pewnością duże poruszenie na Ziemi...

– Ludzie dostali jakiegoś amoku! Na przykład, kilka miesięcy później pewien polityk został zamordowany za to, że bronił tych dziennikarzy już po zamachu braci. Wspominam to, bo spotkałam go po moim zwolnieniu z piekła i miałam z nim nawet mały romansik...

– Co to jest ‘romansik’?

– No, to jest... taka przyjemna znajomość. Widzę, że ty, Ewuniu, masz bardzo kiepskie pojęcie o pewnej dziedzinie życia – stwierdziła Messalina z zatroskaniem w głosie, ale po chwili uśmiechnęła się do mnie pocieszająco, więc pomyślałam, iż to chyba nie jest poważna wada.

Nie wiedziałam również zbyt dobrze, kto to jest ‘polityk’, ale doszłam do wniosku, że to słowo jest chyba związane z posiadaniem władzy czyli w raju jego znajomość mogę sobie darować.

– Ojciec jest bardzo sprawiedliwy... – zauważyłam.

– Tak, w stopniu nieosiągalnym przez ludzi.

Zaprzagnęłam zapytać moją mentorkę o jeszcze jedną sprawę powiązaną z tym tematem. Pani doktor przeczytała o niej w gazecie przy porannej kawce, a potem wdała się w gorącą dyskusję z koleżankami. Jednak nie chciałam mówić Messalinie o tych głosach słyszanych na Ziemi (zresztą i tak by mi nie uwierzyła), więc postanowiłam dojść do celu określną drogą i powiedziałam:

– Widzę, że ty jesteś bardzo za Ojcem...

– Skoczyłabym za nim w ogień – odrzekła cesarzowa z wilgotnymi oczyma. – Przecież to on uwolnił mnie z piekła.

– A powiedz mi, czy on napisał kiedyś jakąś książkę?

– Ojciec napisał wiele książek. W każdej rajskiej bibliotece to są najważniejsze pozycje.

– Ale chodzi mi o taką książkę, która była dostępna na Ziemi.

– Tego dokładnie nie wiem, ale być może taka była...

– No to załóżmy, że była – zaproponowałam – i ktoś powiedziałby, że tę książkę musiał napisać jakiś pijak a nie Ojciec, ponieważ tam są rozmaite banialuki...

– Słuchaj – przerwała mi moja opiekunka – Ojciec ma duże poczucie humoru. Majka mi opowiadała...

– Kto to jest Majka? – teraz ja przerwałam, ponieważ nie chciałam później się pogubić.

– Taka jedna bardzo ważna pani profesor. I moja najlepsza kumpelka wśród naukowców.

– Dlaczego ona jest taka ważna?

– Wchodzi w skład Rady Mędrców.

– Aha... A co to takiego?

– To jest grono najwybitniejszych uczonych mieszkających w raju, spotykających się regularnie z Ojcem.

– Rozumiem... Ty, Walerciu, znasz chyba wszystkich w niebie...

– Wszystkich to nie – odparła Messalina spuszczać skromnie oczy – ale zna się parę osób...

– I co ci ta Mańka powiedziała?

– Otóż Ojciec lubi specjalnie wstawiać bzdury do swoich tekstów. Kto pierwszy się zorientuje i poprawnie zinterpretuje nonsens (a Majka twierdzi, że interpretować banialuki Ojca nie jest łatwo), otrzymuje od niego ładną unikatową nagrodę.

– Ach, to na tym polega ta ich rada... – powiedziałam nieco złośliwie.

– Nie żartuj sobie z tego! – obruszyła się cesarzowa. – Ojciec Wszchedyredktor bardzo się liczy ze zdaniem swoich ludzkich ekspertów. (Majka podejrzewa nawet, że po to właśnie stworzył dla siebie ludzi, podczas gdy oni byli tylko w stanie zbudować komputery.) A ta zgaduj-zgadula jest dopiero po głównych obradach, dla relaksu...

– No dobrze, ale przypuśćmy, że ktoś na Ziemi nie wiedział o Ojca poczuciu humoru i usłyszawszy o tym pijaku oskarżył autora tej wypowiedzi o obrazę uczuć religijnych. Chodzi mi o to, czy ty uważasz, że sąd na Ziemi powinien był go skazać?

– Gdyby Ojciec jakimś cudem naprawdę się obraził, mógłby dać temu pijakowi prawdziwą karę, np. pięćset lat piekła...

– Troszkę tu pokrećłaś. Przed sądem stanąłby nie pijak, ale ten, kto o nim powiedział. I oskarżono by go o obrazę nie Ojca, ale uczuć religijnych innego człowieka.

– Masz rację, słyszałam o tym. Takie procesy rzeczywiście bywały na Ziemi w pewnych okresach, dopóki przepisy, na których były oparte, nie zostały zlikwidowane.

– Dlaczego te przepisy były złe?

– Ponieważ dostarczały częściowego usprawiedliwienia dla zamachów terrorystycznych z powodów religijnych.

– W jaki sposób?

– Widzisz, jeśli jakiś politykier, chcący pokazać kto tu rządzi, mógł na ich podstawie nakłonić sąd do skazania kogoś na karę grzywny, to kto inny, będący w swoim mniemaniu czy sumieniu obrażony znacznie bardziej, mógł – jak to się kiedyś naprawdę zdarzyło na Ziemi – podłożyć bombę na mecie maratonu.

– Ale to już było przestępstwo! – wykrzyknęłam wyobrażając sobie z przerażeniem, że ta bomba urywa nogi mojemu bratu.

– Tak i dlatego mówię tylko o częściowym i to bardzo niewielkim usprawiedliwieniu. Niemniej jednak, dżin został uwolniony z butelki.

– Co proszę? – wykrztusiłam, bo ostatnie zdanie Messaliny było dla mnie całkowicie niezrozumiałe.

– Mleko się rozlało...

– Jakie mleko? Z tej butelki?

– To tylko takie przenośnie – wyjaśniła moja przyjaciółka. – Mówiąc bardziej dosłownie, spirala przemocy na tle honorowo-religijnym (tak to nazwijmy) zaczęła się rozwijać.

– Ale gdyby ktoś istotnie się obraził i nie miał przy tym żadnych przestępczych zamiarów?

– Tak było, niektórzy prości ludzie naiwnie sądzili, że ich Bóg tego od nich wymaga lub że tezy ich religii staną się mniej prawdopodobne, jeśli oni się nie obrażą.

– Czyli nie powinni byli tego robić?

– Każda obraza jest przejawem pychy obrażonego. Człowiek mający stopień pychy równy zeru nie obrażałby się w ogóle. Oczywiście nie można wymagać od ludzi, aby się w takich sprawach nie procesowali, nie żądali przeprosin i tak dalej, ale moim zdaniem nie powinni byli mieszać do tego Ojca w żaden sposób, zwłaszcza wtedy, gdy ich wiedza na temat stanu faktycznego była nikła.

– Ale mówiłaś, że ci dziennikarze obrażający innych ludzi byli trochę winni...

– Bo byli, ale nie każda krzywda może być zrekompensowana w sądzie. W przypadku zdrady małżeńskiej lub obrazy na tle religijnym tylko Ojciec i jego Algorytm są w stanie prawidłowo ocenić stopień winy i wymierzyć adekwatną karę.

„Więc jednak pani doktor miała rację” pomyślałam i postanowiłam wrócić do tematu Margaret.

– Wyjaśnij mi jeszcze coś w sprawie naszej koleżanki. Czy jej ujemny wynik oznacza, że Maggie wyrządziła na Ziemi więcej złego niż dobrego?

– Trzeba ci wiedzieć, że ona miała trochę pecha, bo z jej uczynków korzystali głównie ludzie już coś posiadający, a krzywdzeni byli biedacy. Algorytm zaś jest tak pomyślany, że zdarzenia dotyczące osób słabszych, na przykład dzieci, starców, kobiet w niektórych społeczeństwach, niepełnosprawnych czy właśnie ubogich są wyżej punktowane.

– To jest logiczne – przyznałam. – Przecież ten, kto już coś ma, potrzebuje mniej niż ten, kto nic nie ma.

– W rzeczywistości to nie jest takie oczywiste – stwierdziła Messalina poważnie.

– Ale mówiłaś, że Margaret dostała niewiele tych minusów...

– Zgadza się... Gdyby pisała podania tak jak ja lub nawet po prostu siedziała spokojnie, już dawno byłaby wolna... A tak za każdą ucieczkę dają jej dodatkowe 50 lat.

– To dlaczego ona to robi?

– Taki sobie znalazła sposób na życie w piekle. Dzięki temu nie nudzi się. Myślę, że gdyby nagle została ułaskawiona przez Ojca (co zawsze może się zdarzyć, gdyż on lubi takie osoby z charakterem), to rzecz jasna poszłaby się do nieba, ale czegoś by jej brakowało.

W tym momencie moje ciało znów zrobiło mi niespodziankę. Już przedtem coś nieprzyjemnie przelewało mi się w brzuchu, a teraz to przesunęło się w

dół i nagle poczułam jakieś powietrze pod pupą. Wszystko wskazywało na to, że to ja je wypuściłam! Natychmiast poczułam się znacznie lepiej, więc absolutnie nie żałowałam, że tak się stało, ale...

– Coś tu śmie... – powiedziała Messalina marszcząc nos z odrazą i zacięła się.

Wiedziałam, co chce rzec, ale tym razem nie podpowiadałam i mówiąc także z pewnym wysiłkiem spróbowałam ratować sytuację:

– To chyba... chyba ciągle jeszcze... ten czosnek...

Moim zdaniem ten zapach nie był bardzo zły, choć rzeczywiście raczej gorszy od woni czosnku. Tak czy owak, postanowiłam nie wypuszczać więcej tego powietrza w obecności innych osób.

Zauważyłam, że Messalina jest dziwnie zarumieniona, a mnie również paliły policzki. Wypiłyśmy już dużo wina i spodziewałam się, że będę się czuć bardziej rześko, tak jak po ambrozji, a tymczasem efekt był zgoła przeciwny. Nie rozmawiałyśmy już z taką swadą jak tuż po rozstaniu z biedną Maggie, a moja opiekunka miała wyraźne trudności z wymową litery ‘R’.

– Czy ten diabeł... ten Mefisto... to on się będzie przystawiał... do niej w dalszym ciągu? – trochę niezdarnie sformułowałam pytanie.

– Możliwe, ale wierz mi kochana, że to nie jest takie stjaszne... Tylko trzydzieści kilka lat temu przystawiał się do mnie na weselu koleżanki... Ach, co myśmy tam wypjawiali!

Zastanawiałam się chwilę nad tym ostatnim wyrazem. Na szczęście Messalina użyła w swej wypowiedzi jeszcze innego słowa zawierającego głoskę ‘R’ i zorientowałam się, że biedaczka ratuje się zastępując ją przez ‘J’. „Musisz to kochana dekodować,” pomyślałam (termin ‘dekodowanie’ znałam z kliniki, bo był wykorzystywany przez panią doktor w jej badaniach genetycznych).

– To było w raju? – spytałam z nieznacznym poczuciem wyższości, że wino nie zaszkodziło mi tak jak cesarzowej.

– Tak.

– To tutaj też są śluby?

– W jaju wszystko jest możliwe – odpowiedziała Messalina niezrażona swoimi trudnościami w wymowie – ale tym jazem to było odnowienie ślubu sprzed czterech tysięcy lat na Ziemi. Czy chcesz, milutka, abym ci coś o tym opowiedziała?

Zauważyłam, że po wypiciu wina moja opiekunka staje się bardzo wylewna i nie tylko z grzeczności zgodziłam się natychmiast. Żywiłam bowiem nadzieję, że dowiem się, jak ten diabeł się przystawia.

– Ależ tam były dziewczyny! – kontynuowała cesarzowa. – Nawet ja miałam kompleksy...

– Nie mów! – roześmiałam się szczerze ubawiona.

– Naprawdę! I to mimo że miałam wtedy tylko 20 lat... Najładniejsza była oczywiście Kłówa Kleo czyli panna młoda. Bidulek Mefisto znał tam tylko mnie, ale chciał... po tym ze mną...

– Po przystawieniu się do ciebie – znowu musiałam podpowiedzieć mojej przyjaciółce.

– Dokładnie! Po przystawieniu się do mnie chciał poprzystawiać się także do tych ślicznotek, a zatem musiał zwrócić ich uwagę na siebie. I dlatego namówił mnie na przedłużoną grę wstępą... – Messalina sięgnęła po szklaneczkę, a ja wtrąciłam:

– Grę? To ciekawe. A jakie były reguły?

– Zasady były takie, że goniliśmy się po całym hotelu. Biegłam pierwsza wrzeszcząc wniebogłosy niby z przejażenia, a on udawał, że chce mnie zgwałcić...

– Co to znaczy ‘zgwałcić’? – spytałam, bo nigdy przedtem nie słyszałam tego słowa.

– Hm... przystawić się z użyciem siły – odrzekła cesarzowa po krótkim zastanowieniu.

– Aha. I kto wygrał?

– W końcu on wszedł we mnie i właśnie w tym momencie w ogrodzie dał o sobie znać ogłomny...

– Jak to ‘wszedł w ciebie’ – przerwałam dochodząc do wniosku, że moja opiekunka goni już w piętę od tego wina. – Chyba wszedł do twojego pokoju?

– A co ja powiedziałam, zuczku?... Jasne, że do... Jak jakiś szatan wszedł, co ja mówię wszedł, wtajgnął do mojego pomieszczenia tak, że uderzyła we mnie fala gojąca...

– To było dobrze czy źle? – spytałam, bo ostatnie słowo cesarzowej było trochę dwuznaczne.

– Dobrze... tfu, źle, bo poczułam się jak w piekle za blisko ogniska...

– Czyli to on wygrał?

– On... Na pewno on... – potwierdziła Messalina niepewnie.

– Gdyby do mnie on tak się przystawiał – powiedziałam z zaciętą miną, bo byłam naprawdę oburzona, że ten diabeł skrzywdził moją przyjaciółkę – to bym go tak walnęła w papę, że natychmiast by się odstawił!

– O, widzę, że ty jesteś zająbista dziewczuszka...

Zastanawiałam się przez chwilę, czy powinnam to dekodować. Potem jednak to zrobiłam i zapytałam:

– A dlaczego inni weselnicy ci nie pomogli?

– Ponieważ też gjali. Potjaktowali nasz jaid jako sygnał do rozpoczęcia gj... oj... oj...

– Czy coś cię boli? – spytałam zaniepokojona.

– Nie wymówię tego – szepnęła do siebie cesarzowa, po czym kontynuowała normalnym głosem: – Na przykład tuż obok na dywanie... to znaczy kjącąc dostojnie po złocistym dywanie wujek Majek wtajgnął do pomieszczenia cioci Oktawii...

Messalina wymawiała słowo ‘wtajgnął’ z taką lubością, że również zaczęłam mieć wątpliwości, czy dobrze robię dekodując je. „Może ono pochodzi od tajgi?” snułam dywagacje wyłączając na kilkanaście sekund słuchanie powieści cesarzowej.

– A kto był panem młodym? – powróciłam do tematu.

– Właśnie powiedziałam, że wujek Majek.

– Jak to? I nie pilnował pomieszczenia panny młodej?

– Musisz wiedzieć, moja gwiazdeczko, że to była i jest naprawdę wielka miłość. Oni są jazem już od ponad czterech tysięcy lat i np. z piekła wyszli – nawiasem mówiąc tuż po mnie – jednocześnie. Ale nawet największa miłość nie wyklucza przecież możliwości składania wizyt przyjaciołom, za obopólną zgodą.

W tym momencie spod powały dobiegł do naszych uszu donośny szum.

– Co to jest? – spytałam przestraszona.

– Nie bój się – odparła cesarzowa spoglądając badawczo przez dłuższą chwilę w górę. – Ta szopa ma wentylatory włączające się automatycznie w razie potrzeby. Są wprawdzie starego typu, ale na pewno za chwilę poczujesz się lepiej.

– Tak, istotnie – przyznałam słysząc, że wymowa mojej opiekunki również się poprawiła. – A co robiła w tym czasie królowa Kleo?

Messalina popiła winka i oczy jej rozbłyły, tak jakby przyszedł jej do głowy jakiś wspomniały pomysł.

– Kleopatra wynajmowała, też tuż obok nas, dwupoziomowy apartament. I do części górnej dostał się wujcio Julek, a jednocześnie do dolnej od tyłu wtargnął wujek Oktawian, który tylko dzień przedtem został zwolniony z piekła. Co tam się działo!

– Widzę, że na tym weselu było pełno twoich wujków i cioć...

– Jak to na weselu – uśmiechnęła się cesarzowa. – Ale to na ogół tacy przyszywani, czasami trochę po moim mężu... Trzeba ci jeszcze wiedzieć, że na Ziemi Kleo i Oktawian byli śmiertelnymi wrogami. Właśnie ta niespodziewana wizyta, o której – jak obecnie wiemy – wujek potajemnie marzył i która mogła dojść do skutku tylko w raj, zapoczątkowała ich pojednanie.

– To jest rzeczywiście romantyczna historia – przyznałam, gdyż to była na pewno bardzo przyjemna znajomość. – A czy Mefisto osiągnął swój cel?

– Kiedy biegliśmy, dało się słyszeć komentarze w stylu „To ta smarkula Messalina szaleje jak zwykle. Ale kto to ją goni?”. Mefistofeles został zauważony i miał potem duże powodzenie.

– Mówiłaś jeszcze, że coś ogromnego zaistniało w ogrodzie – przypomniałam pokazując, iż mimo tego wypitego wina zachowałam jasność umysłu. Jednak tak naprawdę, to cały czas zastanawiałam się z dużym niepokojem, co by to mogło być i właśnie takie pytanie zadałam.

– A może zgadniesz? – mojej towarzyszce zebrało się na wymyślanie zagadek. – To słowo składa się z trzech głosek...

– Nie wiem... Czyżby wąż? – spróbowałam odgadnąć przestraszona nie na żarty, bo słyszałam kiedyś pewną audycję radiową (zatytułowaną, o ile dobrze pamiętam, „Zdanie na niedzielę”) i wąż nie był w niej przedstawiony w korzystnym świetle.

– Boisz się węży?

– Troszeczkę...

– Adam też ich nie znosi.

– Ten zastępca Ojca? – spytałam z zaciekawieniem. – Dlaczego?

– Właściwie to przez węża wszystko się zaczęło. Czy chcesz, abym ci to opowiedziała?

– Jak najbardziej.

– Osiem tysięcy lat temu Adam mieszkał na Ziemi w dolinie Nilu, to taka rzeka.

– Domyślam się...

– Adam był bardzo zdolnym młodzieńcem, otwartym na wszelkie nowinki. Dlatego szybko otrzymał odpowiedzialne stanowisko, a mianowicie został pasterzem dużego stada osiołków...

– Dlaczego akurat tych zwierząt?

– Bo właśnie wtedy i na tym obszarze dziki osioł został udomowiony przez ludzi.

– To chyba Adam miał dużą pensję?

– Tak, z tym że wtedy ludzie jeszcze nie znali pieniędzy. Właściciel stada obiecał mu jednak, że po dwóch latach będzie mógł wziąć sobie dowolną parę tych kłapouchów. Dzięki temu Adam byłby już ustawiony do końca życia.

– Byłby?... Czy coś się stało?

– Trzeba ci wiedzieć, że Adam miał piękną narzeczoną, która zbiegiem okoliczności nosiła imię Ewa czyli dokładnie takie samo jak ty...

– Coś podobnego?! – krzyknęłam zaskoczona, bo chociaż słyszałam kiedyś audycję radiową o Adamie i Ewie, to teraz akurat wypadło mi to z głowy.

– Tak. Adam spędzał całe dnie na pastwisku, a w południe Ewa przynosiła mu obiad. Tego dnia nic nie zapowiadało nieszczęścia, chociaż Adam nie wyszedł narzeczonej na spotkanie. Lekko zaniepokojona Ewa podeszła więc do drzewa, w którego cieniu zwykł przebywać w czasie nasłonecznionych dni i wtedy go zobaczyła... – Messalina przerwała na chwilę swoją opowieść i sięgnęła po szklaneczkę wina.

- Co się stało?! – nie wytrzymałam napięcia.
- Adam leżał jęcząc i trzymając się za nogę. „Waż mnie ukąsił...” zdążył jeszcze wyszeptać i skonał z głową na jej udach.
- Straszna tragedia... Gdyby nie dostał tej dobrej pracy, mógłby żyć... I co było dalej?
- Wylewając morze łez Ewa powiadomiła o wszystkim właściciela stada, a sama postanowiła również umrzeć, gdyż kochała Adama nad życie. Początkowo chciała skoczyć w przepaść, ale nie mogła się zdecydować. Chodziła tuż nad brzegiem licząc, że może się poślizgnie, ale jak na złość to się nie zdarzyło. Potem usiłowała zastosować inne metody skończenia ze sobą, lecz ciągle nic jej nie wychodziło...
- Biedna dziewczyna...
- Te jej rozpaczliwe wysiłki zauważył Ojciec obserwujący akurat Ziemię na kanale ponadświatlnym. Wtedy jeszcze w niebie nie było żadnych ludzi i Ojciec nie chciał ich tam przyjmować aż do osiągnięcia wyższego stopnia rozwoju. Ale żal mu się zrobiło Ewy; postanowił najpierw wskrzesić w raju Adama (co uczynił natychmiast) i zamierzał także przywrócić życie jego narzeczonej, gdy już w końcu popełni samobójstwo.
- Tak to opowiadasz, że domyślam się, iż nie udało jej się tego zrobić.
- Zgadłaś, ale wiesz, jak to było?
- Nie...
- Wkrótce po pogrzebie narzeczonego Ewa przedarła się przez żywopłot i dostała się do sadu jabłkowego, ponieważ zauważyła, że rosną tam także toksyczne zioła. Jednak nie zdążyła ich zjeść, gdyż pojmał ją właściciel obojczyca, mężczyzna przystojny, czuły i samotny...
- Rozumiem, nie musisz mi tłumaczyć – powiedziałam myśląc z niechęcią o tej sytuacji. – To się nazywa, że Ewa zdradziła Adama...
- Coś w tym stylu, skusiła się na to jabłko. Jednak nie powinno się potępiać tej twojej imienniczki. Przecież nawet w największych rojeniach nie przypuszczała, że może jeszcze spotkać ukochanego.
- A co Adam wtedy zrobił?
- Łaził po całym raju i narzekał, że on się nudzi, bo nie ma wspólnych tematów do dyskusji z aniołami i diabłami. W końcu Ojciec się nad nim zlitował i postanowił, że wszyscy ludzie umierający na Ziemi będą wskrzeszani w niebie, a Adama (na którego zdolnościach zdążył już się poznać) mianował swoim zastępcą do spraw tej hałas... hałas...
- Hałasty – domyśliłam się.
- Dokładnie. I widzisz, gdyby Ewie udało się popełnić to samobójstwo, gdyby nie ten jej stan emocjonalny lub gdyby nie te wylane wiadra łez, być może nie rozmawiałybyśmy tutaj.
- Czyli ludzie powinni być wdzięczni Ewie?
- Oczywiście, ale Adamowi też dużo zawdzięczamy.

- A czy Ewa również została wskrzeszona po śmierci?
- Tak. Chociaż przygotowania do przyjmowania ludzi trwały długo, zdołała już załapać się do nieba – z uśmiechem potwierdziła cesarzowa i przewidując moje pytanie kontynuowała. – Ale nie wróciła do Adama, pomimo że on bardzo tego pragnął, a ona prawdopodobnie też. Doszła jednak do przekonania, że ma zobowiązanie moralne wobec swego męża, który zmarł trochę wcześniej i także na nią czekał. W końcu tylko on potrafił jej współczuć po utracie wielkiej miłości i to dzięki niemu żyła na Ziemi tak długo.
- Zatem Ewa miała dylemat... – wykorzystałam słowo często używane przez panią doktor.
- W niebie ludzie często mają takie dylematy.
- I ta historia zdarzyła się około czterech tysięcy lat przed Chrystusem? – spytałam dla upewnienia.
- Zgadza się.
- W takim razie domyślam się, dlaczego Ojciec zarządził koniec świata właśnie teraz...
- Dobrze kombinujesz – pochwaliła mnie Messalina. – Majka mi tłumaczyła, że on kocha symet...
- Symetrię – uzupełniłam, bo znałam to słowo z genetyki, dodając: – Jednak czegoś tu nie rozumiem...
- Czego?
- No bo mówiłaś, że Ojciec stworzył ludzi...
- Bo stworzył, ale nie ulepił ich z gliny, ani nie wyciągnął z kapelusza czy też pstryknął palcami, gdyż cudów nie ma.
- Poza tym słyszałam przez radio, że wszyscy ludzie pochodzą od Adama i Ewy.
- To jest właśnie nonsens; to byłoby niemożliwe – stwierdziła cesarzowa kategorycznie.
- Dlaczego?
- Mówiłaś, że znasz się na genach. Zauważ, że gdyby tak było, to wszyscy ludzie mieliby kombinacje genów Adama i Ewy. Bylibyśmy do siebie podobni jak rodzeństwo. Ponadto w ogóle nie wiem, czy oni mogliby mieć dużą liczbę potomków...
- Raczej ciężko – musiałam przyznać, po czym uzupełniłam fachowo: – Bez importu genów zewnętrznych szybko wystąpiłaby jakaś degeneracja.
- No widzisz!
- Ale Ojciec mógł przecież tworzyć jeszcze dodatkowych ludzi na boczku...
- Gdyby tworzył dodatkowych ludzi na boczku, to pochodzilibyśmy także od nich, a nie tylko od Adama i Ewy. Należałoby wtedy mówić, że pochodzimy od jakiejś grupy niespokrewnionych osób.

- To jak to było według ciebie?
- Nie według mnie, tylko mówiła mi o tym Majka. Poza tym ta historia jest w niebie ogólnie znana...
- No dobrze, więc jak się ona zaczęła?
- Dawno, dawno temu Ojciec zauważył, że na odległej planecie, obecnie nazywanej Ziemią, coś się dzieje. Nie było tam wtedy ludzi, zwierząt, ani w ogóle żadnego życia, ale powstawały jakieś kwasy...
- Chyba aminokwasy – poprawiłam moją opiekunkę.
- Właśnie. Zdaniem Majki zdarza się to dość często na wielu planetach i zazwyczaj po pewnym czasie samoczynnie wygasa bez żadnych dalszych konsekwencji. Ale w tym przypadku stało się inaczej, ponieważ Ojcu coś się w Ziemi spodobało...
- Co takiego? – byłam naprawdę zaintrygowana.
- Ojciec obliczył, że Słońce i Księżyc widziane z Ziemi mają niemal takie same rozmiary.
- To jest takie niespotykane? – rzuciłam z rozczarowaniem.
- Majka mówiła, że tak, bo przecież te ciała niebieskie mają w rzeczywistości zupełnie inną wielkość. Księżyc jest mniejszy od naszego globu, a Słońce – dużo większe.
- To dlaczego ich rozmiary obserwowane z Ziemi wydają się (jak powiedziałeś) identyczne?
- Gdyż zależą one także od odległości...
- Rozumiem – klepnęłam się w czoło. – Przecież ludzie na Ziemi nie mieli tego cyfrowego...
- Zoomu – pomogła mi cesarzowa dodając: – Chociaż to i tak by w tym przypadku nic nie zmieniło, ponieważ te odległości są zbyt duże. Niemniej jednak są dokładnie takie, że...
- No dobrze – przerwałam – ale dlaczego ta sprawa była dla Ojca aż tak ważna?
- On wykonuje doświadczenia w wielu dziedzinach, także należących do tak zwanych nauk społecznych. I dlatego zależało mu, aby ludzie byli religijni.
- Nie rozumiem, co mają wspólnego podobne rozmiary Słońca i Księżyca z religią...
- Korzenie większości ziemskich religii sięgają doliny Nilu. A tam właśnie kapłani tłumaczyli ludowi zaćmienia Słońca gniewem Bogów. Nie mogliby tego czynić, gdyby było kilka słońc lub gdyby Księżyc był za mały. Gdyby zaś był większy od Słońca, proces zaćmienia pochłaniałby zbyt dużo czasu i można by było łatwo ich zdemaskować.
- No i co Ojciec zrobił?
- Skierował w stronę Ziemi odpowiednio dobrany strumień AGA.
- Co to jest ‘AGA’?

– Tego właśnie nie wiem – zafrasowała się cesarzowa. – Majka chciała mi to przystępnie wytłumaczyć, ale doszłam do wniosku, że to jednak nie jest na moje wykształcenie...

– No dobrze, mniejsza z tym – pocieszyłam moją przyjaciółkę. – I co było dalej?

– I wtedy na Ziemi zaczęła się ewolucja.

Musiałam to przemyśleć. Nie wiedziałam, co znaczy ostatnie słowo Messaliny, ale pamiętałam z audycji radiowej, że prawdziwi naukowcy byli zwolennikami tego pojęcia. Natomiast tzw. kreacjoniści twierdzili, że życie na Ziemi zostało stworzone przez jakąś inteligentną istotę w wyniku jej zamierzonego i wolnego aktu. To by się zgadzało; Ojciec niewątpliwie jest inteligentny, działał celowo i prawdopodobnie nikt go do tego nie zmuszał. Jednak uczeni również powinni być zadowoleni, gdyż ta ich ewolucja też się zdarzyła!

Był jeszcze jeden aspekt tej historii, zdający się potwierdzać jej prawdziwość. Uczestnicy tej samej audycji zastanawiali się, dlaczego mimo istnienia tak wielu planet, nieraz bardzo podobnych do Ziemi, nigdy nie natrafiono na ślad jakiegokolwiek pozaziemskiej cywilizacji czy nawet tylko życia. Można to wytłumaczyć przyjmując, że Ojciec wybierał (i, być może, wybiera w dalszym ciągu) tylko planety spełniające ważne dla niego warunki oraz znajdujące się daleko od siebie (aby ich mieszkańcy nie nawiązali zbyt szybko dekonspirujących go kontaktów). Co więcej, trudno wyobrazić sobie, aby jakieś naturalne zjawisko zależało od tej pozornej równości rozmiarów Słońca i Księżycy.

– Co to jest ‘ewolucja’? – spytałam.

– To jest, z grubsza mówiąc, powstawanie coraz to nowych gatunków żywych stworzeń.

– W jakim celu?

– Ojciec chciał, aby na Ziemi pojawiły się istoty podobne do niego czyli ludzie, ale na początku były wyłącznie te aminokwasy. Ponieważ cudów nie ma, mogły z nich powstać tylko bardzo małe żyjątka. One walczyły ze sobą, zjadały i stopniowo przekształcały się. W końcu, po wielu, wielu latach, powstał w ten sposób człowiek.

– A Ojciec po tym jednorazowym akcie stworzenia już sobie spokojnie czekał z założonymi rękami?

– Absolutnie nie. Kilka razy musiał interweniować, ponieważ ewolucja zaczynała posuwać się w nieodpowiednim kierunku. Najgorzej było z tymi gadami...

– Gadami? Co to takiego?

– To takie zwierzęta. Węże też są nimi, ale tamte gady miały nogi i były olbrzymie. Czy słyszałaś coś o dinozaurach?

– To chyba coś bardzo starego... – wyraziłam ostrożne przypuszczenie.

- Dlaczego tak myślisz?
- Obiło mi się o uszy określenie ‘Dinozaury rocka’... – powiedziałam, bo słyszałam kiedyś audycję pod tym tytułem.
- Tak się mówi w przenośni, gdyż faktycznie one żyły na Ziemi dawno temu. Były wielkie jak dom – Messalina zilustrowała mi to gestem rąk – i rządziły światem. Natomiast nasi przodkowie czyli ssaki były malutkie i bały się wychodzić w dzień ze swoich jamek. Istniało nawet niebezpieczeństwo, że w ogóle wyginą...
- I co by się wtedy stało? – spytałam z niepokojem, chociaż niezależnie od odpowiedzi zdawałam sobie sprawę, że w takim przypadku ludzi też by nie było.
- Gady być może osiągnęłyby kiedyś postać inteligentną, ale to nie byłoby tym, o czym myślał Ojciec...
- No tak, bo – jak mówiłaś – on chciał, aby te inteligentne istoty były podobne do niego.
- Właśnie.
- Co więc Ojciec w tej sytuacji zrobił?
- Znowu wyemitował na Ziemię stosowną wiązkę AGA. Spowodowała ona zmianę klimatu, w wyniku której wyginęły wielkie gady, a ssaki mogły bezpiecznie wyleżeć ze swoich norek.
- Spryciarz z tego Ojca – stwierdziłam z ulgą. – A potem poszło już jak z górki?
- Nie całkiem. Musiał jeszcze skokowo poprawić nasze geny oraz zlikwidować brzydkie i silniejsze od naszych przodków małpoludy.
- Co to znaczy ‘skokowo’?
- Poza ewolucją, w tym przypadku. Majka mówiła, że przez to uczonym na Ziemi ciągle brakowało jakiegoś ogniwa...
- Czyli Ojciec cały czas pomagał ludzkości?
- Dokładnie. Bez tej pomocy nie byłoby nas tutaj. Ale, Ewuniu, żeby zdążyć do domu przed nocą, powinniśmy już wychodzić.
- Powiedz mi jeszcze o tym czymś ogromnym w ogrodzie na weselu Kleo. Czy to był wąż?
- Nie, no skąd. W jaju nie trzymamy takiego świństwa.
- W ogóle? – spytałam z nadzieją w głosie zauważając, że powróciła specyficzna wymowa mojej przyjaciółki (te wiatraki pod sufitem już dawno przestały pracować).
- Mówiąc dokładnie, węże są w wydzielonych miejscach. Podobnie jak wszystkie inne zwierzęta i rośliny, nawet takie, które na Ziemi przed wieloma laty wyginęły, jak na przykład te olbrzymie gady. Nie musisz do tych jezejwatów zaglądać, jeśli tak się węży obawiasz. Natomiast w ogrodzie ogjomny chój anielski zaczął...

„To koniecznie zdekoduj!” pomyślałam i nagle poczułam gwałtowny skurcz poniżej klatki piersiowej, który spowodował, że wciągnęłam powietrze przez usta i powiedziałam coś w rodzaju:

– Hep!

Messalina przerwała swoją opowieść, przyjrzała mi się uważnie i oceniła:

– Widzę, Ewuniu, że męczy cię czkawka...

A potem nachyliła się w moją stronę i wrzasnęła mi wprost do ucha:

– Hu! Hu!

– No co ty! – aż się odchyliłam przerażona. – Dlaczego mnie straszysz?...

Hep...

– Bo mówią, że przestjaszeniem można wyleczyć czkawkę. Ale na ciebie to zdaje się nie działa.

– Nie działa – potwierdziłam. – Hep!

– Wobec tego wstań i chodź tutaj. Jak piejdę cię mocno w plecki, to ci przejdzie.

Chciałam wypełnić to polecenie i już podniosłam się nieco opierając dłonie na stole, ale okazało się, że nogi mam okropnie słabe, a właściwie to w ogóle nie jestem w stanie nimi ruszać. Klapnęłam więc z powrotem na ławę i powiedziałam żałośnie:

– Walerciu, ja nie mogę chodzić!...

– Jak to nie możesz?!

– No, po prostu nie mogę...

Messalina zerwała się ze swojego miejsca i podeszła do mnie.

– Ja też mam tjochę miękkie nogi od tego wina, ale żeby w ogóle nie chodzić?... No, daj łapki i wstajemy...

Spróbowałam więc jeszcze raz, ale efekt był tylko taki, że obie rypnęłyśmy na podłogę. Cesarzowa wygramoliła się na czworaki, a potem chwiejnie wstała, podczas gdy ja leżałam jak kłoda. Jedynym pocieszeniem było to, że czkawka minęła jak ręką odjął.

Moja opiekunka wyszła na środek szopy i rozglądała się szepcząc do siebie:

– Może alkoholu też nie wolno pić tuż po wskrzeszeniu? Kujwa, co ja mam jobić?

Nie miałam ochoty tego tłumaczyć. Tymczasem Messalina podskakiwała niezgrabnie klaszcząc dłońmi uniesionymi nad głową. Zrozumiałam, że chce uruchomić wentylatory, a w końcu to jej się nawet udało. Jednak chyba wypiliśmy już zbyt dużo wina, bo poprawy nie było żadnej. W dalszym ciągu nie mogłam wstać, a cesarzowa klęła:

– Psiakjew, choleja! Ale pech!

Nagle zobaczyła coś pod ścianą szopy, pogmerała tam chwilę i z wielkim hałasem wytoczyła to na środek.

– Pojedziesz na tym – rzekła beztróska.

– Co to jest?

– Taczka.

Chwyliłam się dłońmi za brzeg taczki, lekko podciągnęłam i zajrzałam do wewnątrz.

– Ależ ona jest strasznie brudna!

– Bo była długo nieużywana. Nie mamy innego wyjścia; nie możemy w tym stanie pójść o pomoc aniołów z pogotowia. Jak przyjedziemy do domu, weźmiesz kąpiel.

– A co to jest pogotowie? – marudziłam.

– Taka organizacja, Jajskie Pogotowie Anielskie. No, wskakujemy, moje maleństwo, do wózcza... Chwyć się tutaj, a ja ci wstawię nogi... Jedna już weszła... I też djuga... Tak...

Rozumiałam, że faktycznie nie ma innego wyjścia. Messalina wstawiła mnie klęczącą przodem do taczki, a potem zdołałam jakoś przekręcić się na bok.

– Nie, bo tu ci nogi wystają, musisz usiąść na pupie... – moja opiekunka pomagała mi dalej. – Tak... Ta ścianka się wysuwa, więc możesz tu oprzeć głowę...

Uff, w końcu się udało! Siedziałam skulona opierając się plecami o tylną ścianę taczki, ale przy tej operacji wybrudziłam się dokumentnie. Pomyślałam sobie, że to jest chyba zrządzenie losu; gdybym urodziła się jak zwykły człowiek, jako dziecko jechałabym na wózku, a tak będę podróżować na tym – trochę przecież podobnym – wehikule. „Sprawdzę, jak to jest” pomyślałam, nawet z pewnym zadowoleniem, ale zaraz okropnie się zaniepokoiłam i zapytałam:

– Walerciu, czy ja już nigdy nie będę chodzić?

– Nie wiem, kochanie – odparła Messalina ze łzami w oczach – pierwszy raz spotykam się z takim przypadkiem... Ale to będzie co najwyżej do następnego wskrzeszenia...

– Czyli jak długo?

– Piętnaście lat.

– Oj, to strasznie długo... – westchnęłam.

– No, może będzie można to trochę przyspieszyć...

Zastanawiałam się, dlaczego tak się stało i nagle doszłam do wniosku, że chyba wiem. No bo moja opiekunka miała już przedtem kłopoty z wymawianiem niektórych słów i alkohol jeszcze jej tę cechę pogorszył. Natomiast ja musiałam mieć, podobnie jak mój brat, słabsze geny związane z nogami. Do tej pory jakoś się trzymałam, ale w końcu wypite wino zrobiło swoje.

– Dasz radę pchać tę taczkę razem ze mną? – spytałam usiłując pogodzić się z losem.

– Buty mi pomogą...

Cesarzowa złapała taczkę za uchwyty i z donośnym stukotem wyjechałyśmy z szopy. Byłam przerażona, bo moja przyjaciółka kierowała zygzakiem, a tuż obok znajdował się przecież rów. Jednak jakimś cudem trafiłyśmy na kładkę i szczęśliwie przedostałyśmy się na drugą stronę. W tym momencie zasnęłam, a właściwie – jak mi później Messalina wyjaśniła – urwał mi się film.

Rozdział 4

Święci Mikołajowie

Gdy się ocknęłam, było ciemno; spojrzałam w górę i domyśliłam się, że zapadła rajska noc. Pole nie było całkowicie czarne, ponieważ gdzieniegdzie błyskały jasne punkty. Początkowo sądziłam, że to są znane mi ze słyszenia gwiazdy. Dopiero kiedy trochę oprzytomniałam i wzrok mi się polepszył, zaczęłam odczytywać tworzone z nich napisy oraz zastanawiać nad przyozdabiającymi je rysunkami. Moje szczególne zaciekawienie wzbudziły komunikaty mówiące o zarodkach. Na przykład, niemal dokładnie nad moją głową widniał wyświetlany różowymi literkami tekst:

**ZESPÓŁ ARCHANIOLA HANIELA WITA SERDECZNIE ZARODKI
I ZAPRASZA JE NA WARSZTATY EROTYCZNE.
TWOJA PŁEĆ I SPRAWNOŚĆ FIZYCZNA NIE MAJĄ ZNACZENIA.
JEŚLI CZEGOŚ JESZCZE NIE WIESZ W TEJ DZIEDZINIE,
DZWOŃ RÓŻA 6 GOŹDIK 9.**



„Nie wymagają umiejętności chodzenia,” pomyślałam. „Będę mogła trochę się u nich podszkolić.”

Nagle dotarło do mnie, dlaczego się obudziłam. Stało się tak, ponieważ taczka przestała jechać. Przechyliłam więc głowę do pionu, aby sprawdzić, co się dzieje i zobaczyłam, że Messalina stoi przed naszym pojazdem, a nad nią pochyla się oświetlając latarką bardzo wysoki, szczupły i wąsaty starzec. Miał ponadto długą białą brodę i nosił czerwoną czapkę, sięgający za kolana płaszcz w tym samym kolorze z białymi wypustkami oraz czarne buty z

cholewami. Domyśliłam się, że to jest święty Mikołaj z tej drogówki, o której rozmawialiśmy w czasie wizyty Józia i Karoliny.

Tymczasem gigant wyprostował się, odwrócił i krzyknął gdzieś w ciemność:

- Mam je, panie kapitanie. Upiły się w trzy dupy!
- O, przepaszam – wybelkotała cesarzowa. – Są tu tylko dwie...
- Jesteś nietutejsza? – zapytał święty.
- Tutejsza, tutejsza... Mieszkamy w willi Igoja.
- W willi Goja? – zdziwił się starzec.
- W willi Igora – pomogłam z taczki.

W tym momencie z ciemności wyłonił się drugi święty Mikołaj, ubrany dokładnie tak samo, ale dużo niższy, grubszy i starszy o jakieś 5 lat. Kapitan (bo chyba do niego był skierowany ten przesadzony meldunek o trzech pupach) rzekł:

– Dobra robota, poruczniku. Wiesz może, gdzie jest ta willa Igora?

– Mniej więcej... Tam chyba obok mieszka ten papież, który tak często podróżuje...

– Ten Paweł Jan II?

– No... Albo odwrotnie...

– To już wiem. W takim razie jechały dokładnie w przeciwnym kierunku – orzekł kapitan i rzucił w stronę Messaliny pytanie: – Czy buty ci nie śmierdziały?

– Śmiejdziały, ale myślałam, że to moja koleżankę boli brzuch...

– Każdy święty ma swoje wykręty – stwierdził grubszy Mikołaj chyba o sobie (nie znałam słowa ‘wykręty’, ale bałam się zapytać).

– Czyli włóczegostwo? – zapytał porucznik wyciągając notesik.

– Włóczegostwo i oczywiście pijaństwo.

– To będzie dużo punktów – oszacował młodszy Mikołaj.

– Tak, bo to są bardzo niegrzeczne dziewczynki, hi, hi! – zachichotał złośliwie starszy.

– Ależ pa... panie oficerzu... – zająknęła się Messalina. – My byliśmy grzeczne!

– Chwileczkę, poruczniku – powiedział kapitan spoglądając uważnie w moją stronę. – W tym przypadku nie będziemy dawać naszych prezentów czyli punktów...

– Dziękujemy! – przerwała mu cesarzowa.

– ... ponieważ odstawimy panie do czyścica.

– Och, jak to?! – jęknęła moja opiekunka.

– Przykro mi, ale mamy taki obowiązek w przypadku jednoczesnego popełnienia trzech wykroczeń.

– Wielkie nieba, panie oficerzu! Przecież to są chyba tylko dwa przewinienia, włóczegostwo i pijaństwo?

Zamiast odpowiedzi kapitan podszedł do mnie, chwycił mnie za stopę i bezceremonialnie podniósł ją do góry przyciągając ku sobie, a następnie oświetlił latarką moje podbrzusze. Pierwszy raz w życiu poczułam zawstydzenie, ale nie mogłam nic zrobić, bo przecież nie miałam władzy w nogach.

– Wiedziałem! – święty Mikołaj krzyknął triumfująco. – Dlatego siedziała taka skulona. Poruczniku, wstaw do raportu, że pasażerka pojazdu nie miała zapiętych... tfu, nie miała przypiętego listka.

– To jest takie wielkie przewinienie? – Messalina w dalszym ciągu próbowała pertraktować.

– Wałęście się po nocy pijane, na golasa, i chcecie się wymigać od kary? – kapitan był nieubłagany. – Już was tam kierownik czyli Święty Jan Chrzciciel wraz ze swoim zespołem oczyści do cna przy pomocy biczów wodnych.

– Przecież czyściec jest dla pijaków...

– No właśnie – potwierdził oficer odkładając uprzejmie moją nogę na miejsce.

– Przysięgam na Ojca – cesarzowa wyglądała na naprawdę przerażoną – że chciałam jechać do domu, ale popełniłam błąd...

– Zgadzasz się – dobił ją starszy Mikołaj, a ja pomyślałam nieco filozoficznie, że to jest przykład, jakie konsekwencje może spowodować błahe na pozór zdarzenie wypuszczenia przeze mnie tego zepsutego powietrza.

– Jednak, panie oficerze – zdecydowałam się zabrać głos chcąc jakoś wymazać swoją winę – proszę uwolnić Walerię, bo ona ma listek...

– Daj spokój, kochanie, na pewno cię nie zostawię...

– Kierowała pojazdem, więc odpowiada za pasażerów – wtrącił się porucznik.

– Ale przecież – moja opiekunka chwyciła się ostatniej szansy – nie przekroczyłam dozwolonej szybkości...

– Czy masz nas za idiotów?! – spytał młodszy oficer groźnie.

– Nie... Skądże znowu... Gdzież bym śmiała... – wystękała cesarzowa czując, że wpadamy z deszczu pod rynnę.

– Te wszystkie kawały opowiadane o nas to wierutne brednie...

– Szkoda czasu – zatroszczył się kapitan i rzekł – no, paniusiu, wstawaj z tej taczki i idziemy do wozu.

– Ona nie pójdzie – oznajmiła grobowym głosem Messalina.

– Dlaczego?

– Nie chodzi.

– To takie buty... – dowódca patrolu wyglądał na kogoś, kto już dużo widział, ale czegoś takiego to jeszcze nie. W końcu chyba coś do niego dotarło, bo polecił:

– Poruczniku, skocz do wozu i przynieś dwa baloniki.

– Te alkoholowe?

– No przecież innych nie mamy...

Po kilku minutach chudzielec wrócił przynosząc dwie półprzezroczyste żółtawe szmatki. Kapitan wziął jedną z nich, podał ją Messalinie i rozkazał:

– Dmuchaaj!

Cesarzowa zaczęła spełniać polecenie i szmatka przybrała kształt kuli, która stawała się coraz większa, aż wreszcie pękła z hukiem.

– Rabarbar! – moja przyjaciółka chyba zakłęła, po czym kontynuowała z nienaganną dykcją starannie dobierając słowa: – Rezyduję prawdopodobnie w którymś z tych cholernych wirtualnych rajów albo ta pierdułka naprawdę robi różnicę!

– To są eksperymentalne akcesoria – wyjaśnił porucznik. – Dostaliśmy je do przetestowania.

– Na nią zadziałało – rzekł starszy Mikołaj z zadowoleniem i podał mi drugą szmatkę.

– Teraz ty!

Ze mną był problem, bo nie zorientowałam się początkowo, że muszę wciągać powietrze nosem i wypuszczać je ustami. Kiedy to załapałam, dmuchałam i dmuchałam, ale balonik nie chciał pękać, chociaż był już dwa razy większy niż u Messaliny. W końcu jednak to zrobił i natychmiast przeszła mi dokuczliwa suchość w gardle. Poczułam, że mogę ruszać nogami, więc postanowiłam sprawdzić, czy mogę wstać. Okazało się, że tak i zrobiłam nawet kilka kroków przed taczka.

– Cud – powiedział porucznik i wszyscy się roześmieli.

– Panie kapitanie – cesarzowa podjęła jeszcze jedną próbę zmiany wyroku – skoro teraz nie jesteśmy już pijane, to może nie musimy już jechać do czyśćca?

– Odstawiamy tam też całkiem trzeźwe osoby mające na koncie szereg wykroczeń popełnionych tego samego dnia.

– Jeśli jest wina, musi też być kara – dodał sentencjonalnie młodszy Mikołaj.

– No, dobra – rzekł kapitan podając Messalinie latarkę – weź to, abyście się nie potknęły w lasku. My pójdziemy przodem.

– Jak tam jest, w tym czyśćcu? – spytałam moją opiekunkę, gdy już szłyśmy.

– Lepiej niż w piekle, bo temperatura i jedzenie są takie jak w raj, ale w sumie jest kiepsko. Święty Jan Chrzyciel wyżywa się w tej pracy wymyślając – jak przystało na byłego pustelnika – różne kary cielesne. Zresztą trzeba przyznać, że Ojciec stworzył czyściec specjalnie dla niego; przed jego zmartwychwstaniem ta instytucja nie istniała.

– Byłaś tam kiedyś?

– Nie, ale mój kuzyn Kaligula, który wykręcił się od piekła chorobą psychiczną, siedział przez wiele lat w czyścicu i był tam nawet pierwszym skazańcem. Opowiadał mi, że najgorsze są ścieżki zdrowia.

– Co to takiego?

– No, np. musisz biec w wodzie sięgającej do kolan lub przeskakiwać przez przeszkody, a strażnicy smagają cię różgami...

– A jak ktoś nie chce biec?

– Im szybciej przebiegniesz, tym mniej oberwiesz.

– A jak długo tam będziemy?

– Przy takich wykroczeniach jak nasze – najwyżej kilka dni. Ale i tak mogą nam dać popalić...

– To może uciekniemy? – zaproponowałam widząc, że idący kilkanaście kroków przed nami Mikołaje zajęci są rozmową, a ja czułam się już całkowicie pewnie na nogach.

– Coś ty?! Natychmiast by nas schwytali...

– To co zrobimy?

– Może coś wymyślę... Jednak powiem ci, że nic takiego nie mogłoby się zdarzyć w rajach ateistów.

– Tam ludzie chodzą w nocy, gdzie chcą?

– Tak. I chociaż listki pozostają obowiązkowe, możesz pić, co chcesz i ile chcesz. Tam jest naprawdę wolny raj. A ci tutaj chyba nie mają nic lepszego do roboty...

– No tak, tacy wielcy oficerowie, a złapali dwie kobitki z taczka – potwierdziłam używając tego zdrobnienia usłyszanego od Messaliny, gdyż bardzo mi się podobało. – Ale powiedz mi, czy im nie jest za gorąco w tych płaszczach?

– Oni mają zupełnie inną przemianę materii.

Stojący na polanie wóz miał kształt dwóch ogromnych spodków złączonych większymi podstawami i błyskał wieloma różnokolorowymi światełkami.

– Jak wam się podoba nasza bryka? – zapytał porucznik wesoło, podczas gdy kapitan gdzieś poszedł.

– Bardzo ładna – pochwaliła ją szybko Messalina.

– Gdy dwieście lat temu byliśmy na Ziemi, ludzie też wydawali się zachwyceni.

– Często bywaliście na Ziemi? – zainteresowała się cesarzowa.

– Kiedyś tak, ale właśnie ostatnim razem mojemu koledze przytrafiła się niemiła przygoda...

– Co się stało?

– Wmieszaliśmy się w grupę fałszywych świętych Mikołajów, którzy defilowali w supermarkecie w celach reklamowych. Po podróży strasznie zgłodniałem, a że akurat przechodziliśmy koło stoiska mięsnego, nie

wytrzymałem i chwyciłem pęto kielbasy. Pech chciał, że spostrzegła to hostessa i narobiła wrzasku, iż Mikołaje kradną i podwędzili wędlinę. Rzuciła się ochrona, więc zaczęliśmy uciekać, a ci przebierańcy z niewiadomych powodów też. Biegłem pierwszy z tą kielbasą, a kapitan próbował nadażyć za mną. Niestety, on jest ewidentnie za gruby, więc w działo odzieżowym potracił stojak z paskami do spodni i zaplątał się w nich jak w sidłach.

– Jak z tego wybrnęliście? – spytała moja przyjaciółka z uśmiechem.

– Musiałem przy pomocy pola wyłączyć w całej galerii wszelkie zapięcia, metalowe, gumowe, plastikowe, z tkaniny, na klamry, guziki i suwaki, wszystko. Ludziom pospadały spodnie, spódnice, majtki i staniki, porozpinały się im bluzki i koszule, słowem zrobiło się olbrzymie zamieszanie, podczas gdy my byliśmy chronieni przez antypole i spokojnie wynieśliśmy się stamtąd. Jednak musieliśmy startować przy pełnej widoczności, więc tubylcy rejestrowali to wydarzenie na swoich aparatach i gromko wiwatowali na naszą cześć.

– Wierzę... – Messalina krztusiła się już ze śmiechu. – Ale ładnie to tak... podwędzać?

– Przecież centrala naszej formacji zawsze wyrównuje z nawiązką szkody wyrządzone przez patrole. Również w tym przypadku wysłano na adres tego supermarketu pokaźny transport zabawek i gier komputerowych z dopiskiem „Od Świętego Mikołaja”.

– A te zapięcia? – chciałam wiedzieć.

– Po trzech minutach wszystko wróciło do stanu normalnego i ludzie mogli się ubrać.

– A co z tą kielbasą? – dociekała cesarzowa.

– Nie zgubiłem. Zjedliśmy ją na pokładzie ze smakiem.

W tym momencie przyszedł kapitan i polecił:

– Zostańcie tu, a my wejdziemy i spuścimy wam drabinę, bo luk wejściowy jest dość wysoko.

Starszy Mikołaj przykucnął, a potem się odbił od gruntu i utrzymując w powietrzu pozycję stojącą wleciał do wozu od góry. Gdy po chwili to samo uczynił drugi, stwierdziłam z satysfakcją:

– Więc jednak wchodzą przez komin!

– No, niby tak... – przyznała Messalina. – Ale odsuń się, Ewuniu, bo porucznik będzie zrzucał drabinę z tego luku nad nami.

Po kilkunastu sekundach moja opiekunka wspięła się i weszła do środka pojazdu, a po niej uczyniłam to samo ja. Znalazłyśmy się w dużej i prawie pustej sali. Z lewej strony przy iluminatorach zainstalowano foteliki, a przed dwoma większymi siedzeniami z przodu były okna prostokątne i kierownice. Porucznik gestem polecił nam zająć miejsca z boku, a sam usiadł przy prawej kierownicy obok kapitana i zameldował:

– Łajba gotowa do startu, szefie.

Statek drgnął i zaczął się unosić. Oglądałam przez świetlik las, ale z powodu ciemności szybko cokolwiek przestało być widoczne. Zaczęłam więc przysłuchiwać się rozmowie mojej koleżanki z Mikołajami, a właściwie tylko z porucznikiem.

– ... bo ja się bardzo interesuję motoryzacją. Poza tym, jak bym chociaż troszeczkę wiedziała, jak się tym praktycznie kieruje, to moglibyśmy na ten temat podyskutować.

– Cieszę się, że tak ci się nasza bryka podoba. Teraz lecimy na automacie, a ponadto kierownica jest wykorzystywana tylko wtedy, gdy poruszamy się na poduszce powietrznej. Zatem właściwie jak chcesz, to możesz sobie nią poobracać nie dotykając, na wszelki wypadek, drążka sterowego, prawda, panie kapitanie?

Dowódca skinął głową, więc cesarzowa wstała, podeszła do prawej kierownicy i stojąc zaczęła ją obracać w różne strony. Porucznik ręką pokazał jej ekran u góry, na którym wyświetlały się rozmaite obrazy w zależności od ruchów wykonywanych kierownicą, a sam położył się wygodnie na ustawionym poziomo oparciu fotela i w tej pozycji coś tam komentował.

W pewnej chwili łajbą zatrzęsło i moja opiekunka straciła równowagę. Na szczęście młodszy Mikołaj uprzejmie rozchylił płaszcz i Messalina wpadła pupą w sam środek. W dalszym ciągu trzymała się kierownicy, ale teraz jakoś tak dziwnie z lekka podskakiwała. Nie słyszałam dobrze, o czym rozmawiali, ale musieli rzeczywiście dyskutować o motoryzacji. Pamiętałam bowiem z kliniki, jak dyrektor mówił, że powinien napompować oponę samochodu, a teraz dobiegły do mnie słowa porucznika, który z rękoma założonymi pod głowę zachęcał moją przyjaciółkę:

– Pompuj, pompuj!

Po kilku minutach nagle przeszła im ochota na konwersację. Messalina wstała i poprawiając w zamyśleniu włosy wróciła na swoje miejsce. Natomiast listek zdał egzamin; zauważyłam, że mimo tak zaciętej dyskusji pozostał nienaruszony.

– Wiesz co, szefie – porucznik ponownie przestawił oparcie fotela do pozycji pionowej – tak sobie myślę, że może by jednak poprzestać tym razem na pouczeniu tych pań... One są takie sympatyczne i bardzo interesują się motoryzacją...

– No, nie wiem czy obie – powiedział kapitan – ty sobie podyskutowałeś, a ja co?

– To zaprosz panią grzecznie – poradził mu podwładny.

– Zapraszam – dowódca nieznacznie spojrzął na mnie rozkładając poziomo oparcie swego fotela.

Przeraziłam się, bo przecież ja wcale się nie znam na motoryzacji! Jednak nie miałam wyjścia, gdyż starszy Mikołaj patrzył już na mnie całkiem wyraźnie. Wobec tego wstałam i ruszyłam ostrożnie w jego kierunku. Nagle poczułam się tak samo jak wtedy pod prysznicem, więc zatrzymałam się i płaczliwie powiedziałam:

– Walerciu, znowu boli mnie siuska!

– Kto to jest, ten kocmołuch? – zapytał kapitan.

– To zarodek – odrzekła Messalina. – Ma za sobą dopiero kilka godzin życia.

– Ach, tak... – święty spojrzał na mnie miękko i zakomenderował: – Dobrze, poruczniku, zmieniamy kurs na willę Igora. A ty, dziecko, wracaj na swoje miejsce.

– Dolecimy do tej willi za piętnaście minut – uzupełnił młodszy oficer. – Przez ten czas musisz panienko wytrzymać, bo niestety nasz automat łazienkowy akurat zwariował...

– Co mu się stało? – zainteresowała się cesarzowa.

– Nie otwiera drzwi. Twierdzi, że od przeciągu bolą go korzonki.

– Ci chłopcy Turinga są coraz bardziej dowcipni... – ta konstatacja Messaliny była dla mnie całkowicie niezrozumiała.

– To po prostu brakoróbstwo, bo mamy ten automat dopiero od trzech miesięcy. Na razie nie zdążyliśmy zgłosić go do wymiany.

– Właściwie to sam powinien się wymienić – zauważył kapitan – ale ten moduł też sknocili...

Wtem ekran nad kierownicami rozbłysnął i pojawił się na nim jeszcze jeden święty Mikołaj, znacznie starszy od dotychczasowych. Z lewej strony u góry ekranu zauważyłam napis: SM 000002 na linii.

– Gdzie się podziewacie, do pani nędzy! – wykrzyknął staruszek. – Zapomnieliście, że dzisiaj jest rocznica symulacji patrona naszej formacji, biskupa Miry w Licji? Przecież tym razem to wy m.in. macie grać role tych sześciu oficerów cesarza Konstantyna, którym – według scenariusza napisanego przez samego Ojca i tak udanie podrzuconego przeze mnie na Ziemię – nasz symboliczny przywódca ratuje życie...

– Nie zapomnieliśmy, panie generale – rzekł spokojnie kapitan. – Pamiętamy też na przykład, że w tym uroczystym przedstawieniu teatralnym dla Ojca będzie pan generał grał rolę świętobliwego mnicha Mikołaja z klasztoru Syjon, tak jak to zresztą było w rzeczywistości. Jednak jest dopiero piętnaście minut po północy, a my mamy zarodka na pokładzie i musimy odstawić ją do domu.

– A ładna chociaż?

– Bardzo – odpowiedzieli zgodnie oficerowie na statku.

– Pokażcie mi ją – generał się oblizał, a po tym jak porucznik skierował w moją stronę jakiś podłużny przedmiot podskoczył tak, że aż mu się czapeczka

przekrzywiła – co wy mnie tutaj w bambuko robicie! To wy nie wiecie, że to jest...

Nagle za okienkami coś błysnęło, ekran zgasł, a po kilku sekundach rozległ się ogromny huk.

– Ale zagrzmiało – powiedział młodszy Mikołaj. – Testują AGA i zerwało łączność.

– Powinni nas o tym powiadomić...

Komendant przerwał, gdyż błyskawica i grzmot dały o sobie znać ponownie, ale tym razem były znacznie silniejsze i jednocześnie zgasło światło.

– Cholera – zdenerwował się porucznik. – Był chyba jakiś mail na ten temat. Po ostatniej zmianie kursu weszliśmy w tę strefę. A teraz wysiadł główny agregat...

– A antypole odgromowe?

– Te eksperymenty z AGA zdarzają się tak rzadko, panie kapitanie, że normalnie latamy z wyłączonym. Ale zaraz powinien zadziałać agregat rezerwowo.

– Tak, on potrzebuje kilkanaście sekund do pełnego rozruchu.

Nagle zza ściany dał się słyszeć rozedrgany strachem głos (zmartwiałam z wrażenia, bo byłam pewna, że należy on do Józia):

– Ratunku, pomocy! Ja nie chcę umierać!

– Cicho, gnoju! – odkrzyknął porucznik. – Jak nie umarłeś od tych korzonków, to już nie umrzesz! Przez ciebie dowódca musiał załatwić się w lasku, a nasza pasażerka cierpi...

Na szczęście w pozycji siedzącej siuska nie bolała mnie już tak bardzo.

– Skoro – zauważył kapitan – ten wariat w kiblu wrzeszczy, to znaczy, że agregat pomocniczy już zaczyna pracować.

Rzeczywiście po chwili światło się zapaliło, a ja doszłam do wniosku, że musiałam się pomylić; to nie mógł być głos mojego brata. Ponieważ sytuacja najwyraźniej wróciła do normy, odważyłam się zapytać:

– Co chciał powiedzieć ten pan generał tuż przed zerwaniem łączności?

Oficerowie spojrzeli na siebie, a starszy stwierdził z przekonaniem:

– Chociaż to nasz przywódca i pierwszy naprawdę istniejący na Ziemi święty Mikołaj, tym razem nie miał chyba nic ważnego do zakomunikowania...

– Skleroza – wyjaśnił krótko drugi.

– Ale że myśmy zupełnie zapomnieli o tej uroczystości... – zastanawiał się kapitan.

– Dobrze, że trochę mu podkadziłeś, to się udobruchał.

– Ja tego Mikołaja trochę znam – stwierdziła cesarzowa. – Był na zeszłorocznym Balu Wszystkich Świętych. To straszny podrywacz...

– A jak to się stało, że tak się wczoraj wstawiliście? – porucznik wyraźnie chciał zmienić temat.

– Straciłyśmy koleżankę... – powiedziałam.

– Straciłyście?

– Uciekła z piekła, ale anioły Gabriela ją złapały – wyjaśniła moja opiekunka. – Zachowały się przy tym bardzo brutalnie...

– Też nie lubimy tych psów – zgodził się młodszy Mikołaj.

– A wy nie wykonujecie nigdy podobnych zadań? – spytała cesarzowa.

– Chodzi ci o działania operacyjne?

– No tak...

– Realizujemy je, jak najbardziej – zapewnił ją porucznik. – Na przykład niespełna dwa tysiące lat temu na Ziemi, gdy ratowaliśmy pewnego doktora informatyki, którego chciał zlikwidować jego zwierzchnik na uczelni, profesor...

– To znaczy – próbowała sprostować to Messalina – chciał zlikwidować jego stanowisko?

– Nie, chciał go zabić...

– Zabić?! – wykrzyknęłyśmy jednocześnie, a moja koleżanka dodała: – Dlaczego?

– Szczegółów nie znam – zastrzegł się porucznik – bo my wykonujemy tylko polecenia centrali, ale podobno ten doktor napisał jakąś bardzo ważną pracę z fizyki.

– I dlatego jego szef chciał go pozbawić życia? – zdziwiła się cesarzowa, ja zaś spytałam:

– Co to jest ta ‘informatyka’?

– Nauka zajmująca się wykorzystaniem komputerów – wyjaśniła mi moja koleżanka, a młodszy Mikołaj kontynuował:

– To była niezwykła sprawa. Z jakichś powodów pracy tego doktora nie wydrukowano, ale profesor ogromnie obawiał się, że może się to stać w każdej chwili.

– Profesor bał się, że ważna praca jego podwładnego zostanie opublikowana? – znów zdumiała się Messalina.

– Trzeba przyznać – zgodził się porucznik – że ta sytuacja była wyjątkowa. Ten naukowiec był w istocie psychopatą mającym świra na punkcie szefowania.

– Kto to jest ‘psychopata’? – spytałam, ponieważ czułam, że ta historia może być ciekawa, i nie chciałam uronić ani słowa.

– To taki – przystępnie wyjaśniła mi moja opiekunka – jeszcze nie całkowity wariat, ale mający już w głowie jakieś odchylenie od normy.

– Właśnie. I on czuł się zagrożony, gdyby bowiem artykuł doktora został opublikowany, jego autor zrobiłby szybko habilitację, i władze uczelni

mogłyby chcieć wykonać zmianę na stanowisku kierownika tej katedry, chociaż sam doktor zdecydowanie tego nie pragnął.

Co to jest 'habilitacja' wiedziałam, gdyż Teresa mówiła o niej kiedyś w klinice.

– Wobec tego – uzupełnił kapitan – profesor obmyślił przebiegły plan mający 99% szans powodzenia.

– Co najmniej. No bo kto by się oparł, gdy szef proponuje pomoc w szybkim zrobieniu habilitacji i nawet chce swoim samochodem podwieźć na seminarium, gdzie trzeba wygłosić prezentację?

– Prezentację? – spytała cesarzowa. – W jakim celu?

– Profesor też był informatykiem i twierdził, słusznie zresztą, że on nie zna się na fizyce. Wobec tego, argumentował, nie wie, czy ta praca ma jakąś wartość.

– Niby racja... – przyznała Messalina.

– Jednak to już był fałsz. Jakiś czas przedtem odbyło się bowiem zebranie katedry, na którym jej szef, od niechcienia przeglądając notatki, rzekł: „Jeśli chodzi o granty, to obecnie nie mogę tam nic załatwić, bo jak tylko dzwonię, oni pytają o pewnego pana (on o tym wie).” Profesor musiał to powiedzieć, jako że cały sekretariat wiedział o tej sprawie. Tym panem był oczywiście doktor, który właśnie wysłał swoją pracę, a końcowa część tamtego stwierdzenia była kłamstwem.

– Czy doktor czegoś się domyślał? – spytała moja opiekunka.

– Niewiadomo. W każdym razie profesor nigdy nic mu o tym nie powiedział. A przecież, jeśli rzeczywiście chciał mu pomóc w zrobieniu habilitacji, powinien był być szczery i w pierwszym rzędzie poinformować go o tym zainteresowaniu.

– A oni musieli daleko jechać na tę prezentację?

– Prawdę mówiąc, w ogóle nie trzeba było nigdzie jechać, ponieważ nawet na tej uczelni lub innej w tym samym mieście pracowało wielu doskonałych fizyków, zresztą znajomych profesora. Jednak wyszukał on wcale nie lepszych ekspertów w odległej miejscowości. I usilnie nalegał, aby jechać tam jego samochodem, jako że on ma GPS.

Nie znałam tego ostatniego skrótów, ale nie chciałam przerywać opowiadania porucznika.

– Na podstawie tego wszystkiego od razu domyśliliśmy się, co tu jest grane. W tamtych czasach na Ziemi produkowano auta wyposażone w tylko jedną poduszkę powietrzną, dla kierowcy. Gdyby profesor uderzył o drzewo prawą stroną samochodu, dzięki tej poduszce odniósłby co najwyżej lekkie obrażenia, a doktor zginąłby na miejscu.

– Ale przecież – wykrzyknęła moja koleżanka – miałby sprawę sądową o spowodowanie wypadku!

– Nieumyślne. Na rozprawę przybyłyby delegacje studentów, doktorantów, znajomy wicepremier i ważny kapelan. Zaświadczyliby, że profesor nie skrzywdziłby specjalnie nawet muchy, a każdemu może przydarzyć się błąd. Ponadto motyw zamachu pozostałby, rzecz jasna, nieznanym.

– Ależ to byłaby zbrodnia doskonała!

– Z pewnością. Dodajmy, że siedząc na ławie oskarżonych mocno skruszony naukowiec wzbudzałby współczucie, zwłaszcza że przeżył taki tragiczny wypadek. W ostatnim słowie oświadczyliby roztrzęsionym głosem, że wypłaci spore odszkodowanie rodzinie zabitego. Naturalnie otrzymałby wyrok w zawieszeniu.

– I doktor zgodził się jechać? – spytałam.

– Tak, ku naszej konsternacji – odparł kapitan – i zaczął przygotowywać prezentację.

– Więc co zrobiliście? – zapytała Messalina.

– Wiedzieliśmy – kontynuował porucznik – że doktor oglądał regularnie teleturniej, którego uczestnicy opowiadali rozmaite dowcipy. Zgłosiłem się do niego w przebraniu młodego człowieka i opowiedziałem między innymi następujący kawał: „Małżeństwo jedzie samochodem. W pewnej chwili żona mówi: ‘Wiesz, muszę ci powiedzieć, że mam kochanka.’ Mąż milczy, ale auto przyspiesza. ‘Co robisz?’ pyta ona, na co on odpowiada: ‘A ja mam poduszkę’.” To był zwykły suchar, ale spełnił swoje zadanie. Natychmiast po programie doktor wysłał e-maila do profesora informując go, że z powodów rodzinnych nie może jechać.

– No tak – przyznała z ulgą cesarzowa – gdy ktoś akurat wybierał się w podróż w charakterze pasażera i usłyszał coś takiego, miał prawo uznać to za znak niebios...

– I profesor zrezygnował? – spytałam.

– A skąd. Gdyby miał czyste intencje, powinien był powiedzieć: „W takim razie ma pan tutaj zamiary do nich, niech pan się z nimi umówi i pojedzie, kiedy będzie pan mógł.” Zamiast tego szef katedry ustawicznie molestował naszego podopiecznego zdaniem typu: „Panie doktorze, ja czekam, kiedy my wreszcie pojedziemy do...” Ponadto on miał plan B.

– Jaki?! – krzyknęłyśmy obie.

– Ta katedra odbywała coroczne konferencje wyjazdowe w ośrodku wypoczynkowym. W czasie takiego mityngu auta pracowników stały na parkingu bez żadnego dozoru. Zatem pomocnicy profesora mogliby w nocy podkraść się do samochodu doktora i uszkodzić w nim hamulce w taki sposób, aby przestały działać dopiero przy dużej prędkości. Jednak ten plan wymagał znajomości numeru rejestracyjnego auta.

– Ten łobuz go nie znał? – spytałam z nadzieją.

– Nie znał. Z poprzednich spotkań pamiętał charakterystyczny złotozielony kolor wozu doktora, ale numeru nie zapisał, liczył bowiem na to, że plan A,

w którym wszystko zależało wyłącznie od niego, wypali. Wobec tego profesor zaczął niespodziewanie organizować cotygodniowe zebrania w wolno stojącym budynku (zamiast w sali uniwersyteckiej), obok którego uczestnicy parkowali swoje auta. Chyba to ostatecznie przekonało doktora, że postąpił słusznie nie wsiadając do samochodu profesora.

– Więc zwolnił się z tej pracy? – spróbowałam zgadnąć.

– Nie, bo przypuszczalnie uważał, że ma wszystko pod kontrolą. Znalazł boczny zaułek znajdujący się w odległości trzystu metrów od miejsca zebrania, gdzie jego wozu nie można było dostrzec nawet patrząc ze skrzyżowania ulic.

– A jak profesor na to zareagował? – spytała Messalina.

– Strasznie się wściekał nie widząc nigdzie samochodu doktora i ochrzaniał podwładnych za byle co. Gdy minął termin konferencji wyjazdowej, dał sobie z tym spokój i przystąpił do realizacji planu C.

– Jeszcze?! – znów krzyknęłyśmy prawie jednocześnie.

– To było późną jesienią, gdy w tym kraju dość szybko zapadał zmrok. Parę dni wcześniej profesor wyjechał bardzo daleko, bo do Chin, ale przedtem wypłacił bandzie młodocianych złoczyńców połowę wysokiego wynagrodzenia za wykonanie pewnego zadania...

– Skąd taki poważny uczonec ich znał? – spytała cesarzowa, jakby to miało jakieś znaczenie, podczas gdy mnie zaparło dech w piersiach.

– Ten naukowiec miał brata, który nie był tak zdolny i prowadził firmę remontową. No a w biznesie ma się rozmaite znajomości.

– Rozumiem. I na czym polegało to zadanie?

– Początkowo mieli skopać doktora na śmierć, lecz później doszli do przekonania, że to by za długo trwało. Wobec tego postanowili poderznąć mu gardło.

– Niemożliwe... Ten profesor był najprawdopodobniej normalnym wariatem...

– Musisz wziąć pod uwagę – do rozmowy wmieszał się starszy Mikołaj – że on wpędził się w naprawdę trudną sytuację. Był opiekunem naukowym tamtego człowieka, miał mu przekazać informację, że jego praca jest poprawna, ale chwilowo nie może być opublikowana, i tego nie zrobił. Było to ogromne złamanie zasad etyki nauczyciela akademickiego. Ponadto on strasznie obawiał się, że ta praca zostanie lada moment wydrukowana, a wtedy wszystko by się wydało.

– Doktor zakończył prowadzenie zajęć na studiach wieczorowych – spokojnie kontynuował porucznik – i opuścił teren uczelni kierując się w stronę swego auta zaparkowanego kilkaset metrów dalej. Ulice były już prawie puste.

– Nie mógł parkować na terenie uniwersytetu? – spytała znająca się na motoryzacji cesarzowa.

– Musiałby mieć pozwolenie. Otrzymywał różne telefony od pracowników administracyjnych z prośbą o podanie numeru rejestracyjnego samochodu, z uzasadnieniem że został przez swoją katedrę wytypowany do otrzymania tego pozwolenia, lecz wiedział, kto za tym stoi, i odpowiadał, że on nic takiego nie potrzebuje.

– Ale teraz by mu się przydało!

– W każdym razie było już za późno. Gdy stał na skrzyżowaniu czekając na zielone światło, po drugiej stronie ulicy pojawiła się grupa młodych ludzi. Gestykulowali i śmieli się, ot tak jak studenci po zajęciach. W pewnej chwili zatrzymali się przed tablicą ogłoszeń i z wyjątkiem jednego, który rozglądał się dookoła, zaczęli ją studiować. Problem polegał tylko na tym, że tam nie było żadnych ogłoszeń, bo wystawiająca je restauracja pozostawała w remoncie. Doktor też chyba o tym wiedział, wyjął bowiem komórkę i udając, że dzwoni, zrobił kilka zdjęć tych młodzieńców.

– Co nie mogło mu wiele pomóc?

– Jasne. Ponadto nie doprowadziłoby to do ich złapania, ponieważ mieli polecenie upozorowania napadu rabunkowego i po zabójstwie zabraliby mu tę komórkę.

– A nie obawiali się, że on mógł dzwonić po jakąś pomoc?

– Profesor zapewnił ich, że doktor absolutnie nic się nie spodziewa. Nie przypuszczali ponadto, że on wie o tej restauracji.

– A gdzie wy wtedy byliście?

– Przebrani po cywilnemu w stojącym nieopodal samochodzie o kolorze i marce wozów używanych w tym kraju przez nieumundurowanych policjantów. Mieliliśmy wyraźne rozkazy: Osoba chroniona nie może być nawet drażnięta. Siedziałem za kierownicą i trzymałem włączony silnik. Tymczasem nastąpiła zmiana świateł, doktor przeszedł na drugą stronę ulicy, a bandyci ruszyli za nim.

– Matko! – krzyknęła Messalina (ja byłem ciągle jak zamurowana), choć przecież wiedziałyśmy, że to musi się dobrze skończyć, gdyż święci nie chwaliliby się nieudaną akcją.

– Byłem zdecydowany, że jeśli te łotry zbliżą się do doktora na odległość mniejszą niż dziesięć metrów, po prostu w nich wjadę. Posiadaliśmy doskonale podrobione papiery, z metrykami chrztu w parafiach włącznie, a potem byśmy się ulotnili. Na szczęście kapitan wpadł na genialny, niewymagający żadnych cudów, pomysł.

– To było zupełnie proste – rzekł skromnie starszy Mikołaj. – Podjechaliśmy do naszego podopiecznego, i ja spytałem go o drogę do hotelu. Doktor zaczął nam tłumaczyć wskazując ręką w tym samym kierunku, w którym akurat znajdowali się bandyci. Gdy skończył, podziękowałem mu bardzo uprzejmie, tak aby później w niebie nas pamiętał, i widziałem, że on zwrócił na to uwagę.

– Jednak najważniejsze było to, że z daleka wyglądaliśmy na tajniaków przywołanych telefonicznie przez informatyka. Nic dziwnego, że przestępcy natychmiast zrejerowali, a on wsiadł do swego samochodu i bezpiecznie odjechał.

– Profesor miał jeszcze jakiś plan? – chciała wiedzieć cesarzowa.

– Dwa dni później wrócił z Chin przed terminem. Kiedy spotkał doktora na korytarzu, wyglądał jak z krzyża zdjęty. Przerazenie zniknęło z jego twarzy dopiero wtedy, gdy jego podwładny nie wspomniał nic o tamtym wieczornym incydencie. Szef katedry zrozumiał jednak, że to już nie są przelewki. Nie miał zresztą innego wyjścia, bo jego brat i bandyci też byli kompletnie wystraszeni. Pieniądzy mu oczywiście nie oddali, ponieważ nie z ich winy wystąpiły nieoczekiwane trudności.

– Ależ to była mroząca krew w żyłach historia...

– I co się stało dalej? – odzyskałam głos.

– Dokładnie nie wiemy – odpowiedział mi kapitan – albowiem ochronę doktora przejął inny oddział. Jednak słyszałem, że wkrótce potem rektorem tej uczelni został wybrany kolega profesora, do którego miał on różne doświadczenia, więc nie obawiał się już tak bardzo o swój stołek.

– No, wreszcie zbliżamy się do celu – powiedziała Messalina z wyraźną ulgą w głosie. – Już się bałam, że nie dotrzemy...

Wyjrzałam przez iluminator i zobaczyłam w dole prześliczny różowy domek z falującym nad dachem jaskrawym dwusłownym napisem oświetlającym całą ogrodzoną posiadłość.

– Czy tutaj mieszka jakiś Igor? – spytałam.

– Nie, to tylko nazwa. Aktualnie mieszkam sama.

Wkrótce statek wylądował na obszernym dziedzińcu. Nie musiałyśmy schodzić po drabince, bo porucznik był tak miły, że wysunął nam ruchome schody. Potem łajba wystartowała i machałyśmy rękoma Mikołajom na pożegnanie, a oni odpowiadali nam stojąc w otwartych drzwiach luku i salutując.

– Zapraszam cię, kochanie – powiedziała cesarzowa z dużą serdecznością w głosie. – Ja zajmuję parter, a całe piętro czyli trzy pokoje i łazienka są do twojej dyspozycji.

– Trzy pokoje? – zdziwiłam się.

– Tak, tylko trzy: sypialnia, salon i gabinet, bo jadalnia jest wspólna na poziomie minus jeden.

– Ja bym najbardziej chciała pójść do łazienki...

– Tak, widzę, że przestępujesz z nogi na nogę. Wobec tego chodźmy, skorzystasz szybko z mojej na parterze.

Weszliśmy do przedpokoju willi, po czym Messalina otworzyła drzwi łazienki i wskazała mi coś w rodzaju stołka z dziurą w środku mówiąc:

– To jest sedes. Musisz na nim usiąść.

– Tak, domyślam się, o co chodzi – powiedziałam siadając i rozluźniając się, a ból natychmiast minął.

– Teraz wstań – poleciła moja opiekunka, gdy ustał plusk wody pod moim siedzeniem. – Powinnaś się wykapać, ale to najlepiej zrobisz w swojej łazience, bo w niej jest automat, a ja nie lubię tych nowoczesnych udogodnień. Natomiast tobie się przyda. Tylko się nie zdziw, bo ona mówi moim głosem...

– Ale to nie będziesz ty?

– Naturalnie, że nie. Chodź, pokażę ci twoje pokoje... Tutaj jest winda, ale prościej będzie wejść po schodach.

– Co można robić w salonie? – spytałam, gdy cesarzowa otworzyła drzwi do pokoju, który mi zaprezentowała używając tej właśnie nazwy.

– Możesz tu np. przyjmować gości... Tam na stoliku są zawsze świeże owoce... A tutaj jest barek z najrozmaitszymi napojami, alkoholowymi i bez... Jeśli masz ochotę, korzystaj z niego do woli, bo automatycznie sam się uzupełnia.

– Tych alkoholowych to już mam dość...

– Rzecz jasna – uśmiechnęła się Messalina. – Ale jest też twoja ulubiona ambrozja... O, a tutaj jest gabinet...

– Do czego on służy?

– Możesz na przykład pracować przy komputerze.

Skinęłam głową ze zrozumieniem, chociaż nie bardzo wiedziałam, o co chodzi.

– Łazienka jest usytuowana dokładnie tak jak na parterze, a sypialnia, jak sama nazwa wskazuje, służy do spania – objaśniała mi dalej gospodyni domu. – I sprawa najważniejsza. Jeśli będziesz miała jakiegokolwiek problemy, mów do tego wazonika z kwiatami na szafce nocnej. To jest połączenie bezpośrednio do mnie... Będziesz pamiętać?

– Tak, oczywiście.

– W takim razie dobranoc kochanie.

Wyściskałyśmy się serdecznie i cesarzowa zeszła po schodach. Chciałam iść prosto do łazienki, ale znów coś zaczęło mnie ssać w dołku. Zajrzałam więc do salonu i zjadłam wszystkie owoce. Na niektórych były nalepki z namalowanym nożem, więc domyśliłam się, że trzeba je najpierw obrać ze skórki. Najsmaczniejszy był taki podłużny, z którego skórka schodziła nawet bez użycia noża.

Dobrze, że Messalina mnie uprzedziła, gdyż inaczej chyba bym całkiem zbaraniała. Natychmiast po wejściu do łazienki usłyszałam bowiem jej głos dochodzący, jak się zdawało, zza lustra:

– Jak się masz, milutka?

– Dobrze – odpowiedziałam po prostu.

– Ja mam na imię Alicja i mieszkam po tej stronie lustra, a ty?

- Ja jestem Ewa i mieszkam po tej...
- To świetnie – roześmiała się Alicja. – Ale gdzie ty się tak, niebożatko, utyłałaś?
- A bo ja jechałam na taczce...
- Widzę, że ta pani z dołu sprowadza tu coraz to bardziej ekscentrycznych gości... Nie szkodzi, wykąpiesz się, ale najpierw wg mojej oceny powinnaś się wypróżnić.
- Przecież siuska mnie nie boli...
- Siuska? Jesteś może zarodkiem?
- Tak.
- A więc potrafię rozpoznawać rodzaj ludzi... – powiedziała półgłosem Alicja prawdopodobnie do siebie, a mnie zapytała już normalnie: – Jak długo żyjesz?
- Zmartwychwstałam dziś, a właściwie chyba już wczoraj, po południu.
- Rozumiem. To dobrze trafiłaś, bo ja mam wszelkie kwalifikacje do obsługi zarodków. Musisz się wypróżnić, bo na przykład tutaj cię trochę wzdęło...
- W tym momencie spod lustra wydostała się mała rączka i pogłaskała mnie czule po brzuchu.
- To chyba od tych owoców... – przyznałam.
- Z pewnością, łakomczuszkę. A teraz usiądź na sedesie.
- Ze ściany istotnie wyjechał sedes, taki jaki był na dole, więc usiadłam na nim. Wtedy wyskoczyło z niego kilka małych rączek, które mnie masowały i lekko uciskały tak, że nawet bez poleceń Alicji wiedziałam, co mam robić. Zrozumiałam wtedy, że siuska załatwiała tylko połowę problemu.
- Teraz wstań – zakomenderowała w końcu Alicja. – Jak się czujesz?
- Świetnie. W brzuchu już mi się nic nie przewala...
- Nie będę wycierać ci pupy, bo i tak masz się wykapać.
- Tak, muszę koniecznie.
- Ale zauważyłam, że w paru miejscach masz zdarty naskórek i od gorącej wody mogą cię te zmiany boleć.
- One się chyba zrobiły podczas jazdy na taczce...
- Nie martw się, mam tu maść, która leczy takie przypadki w ciągu paru sekund – Alicja znów uruchomiła rączki, a później spytała:
- Jaką kąpiel wolisz: w wannie, pod prysznicem czy w łaźni?
- Pod prysznicem już byłam, to może to ostatnie...
- A chciałabyś łaźnię parową, rzymską czy saunę?
- Albo może jednak w wannie... – zdecydowałam, ponieważ niezbyt dobrze wiedziałam, na czym polega różnica między tamtymi kąpielami.
- Na pewno?
- Tak, poproszę.

Sedes schował się w ścianie, a zamiast niego wyjechało coś znacznie większego i obudowanego kafelkami. Zachęcona przez Alicję weszłam do tej wanny wypełnioną gorącą (ale nie za bardzo) wodą i usiadłam. Ze ścianek wyskakiwały rączki, które albo mnie myły albo trzepały wodę powodując powstanie wspaniałej piany. Alicja od czasu do czasu wydawała mi polecenia ustawienia ciała w taki sposób, aby rączki miały dostęp do wszystkich miejsc, a w końcu powiedziała:

– Dobrze, już jesteś całkowicie wymyta. Teraz możesz się jeszcze popluskąć. A rano cię uczeszę, tak jak będziesz sobie życzyła, bo teraz już chyba chcesz spać?

– O tak, bardzo – przyznałam i dlatego nie pluskałam się długo, chociaż to było niezwykle przyjemne.

– Wolisz suszenie powietrzem czy ręcznikiem? – spytała Alicja, gdy wyszłam z wanny.

– Poproszę to drugie – wybrałam, bo suszenie powietrzem już znałam. Myślałam, że dostanę ten ręcznik do ręki, ale znów pracowały rączki, tym razem wyposażone w kawałki materiału całkiem przyjemnego w dotyku. Musiałam tylko w pewnych momentach podnieść ramiona lub stopę (rączki mnie wtedy podtrzymywały, abym nie straciła równowagi) albo stanąć w rozkroku.

– Dobranoc, życzę ci przyjemnych snów!

– Dobranoc i wzajemnie – odpowiedziałam, chociaż nie wiedziałam, czy to ma sens.

Za drzwiami łazienki stały prześliczne bambosze z różowymi pomponnikami, więc je założyłam, aby nie pobrudzić stóp. W drodze do sypialni weszłam na chwilę do salonu, ponieważ znajdowało się tam lustro większe niż w łazience, i obejrzałam się starannie. Tak, byłam rzeczywiście dokładnie umyta, a moja skóra nie miała żadnych uszkodzeń. Zauważyłam też, że taca z owocami jest znów pełna, ale ich gatunki zmieniły się. Postanowiłam, że zjem je rano.

Centralne miejsce sypialni zajmowało ogromne łóżko z dwoma dużymi poduszkami z jednej strony. Zdjęłam kapcie i już miałam się położyć, gdy nagle wystąpił problem: gdzie ma się znajdować moja głowa? Pomyślałam, że jeśli to łóżko jest przeznaczone dla dwóch osób, to najprawdopodobniej głowy mają być trzymane na dwóch poduszkach. Ale jeśli ono jest jednoosobowe, to można by położyć się odwrotnie i mieć – w zależności od ułożenia ciała – stopy na jednej lub dwóch poduszkach. To drugie rozwiązanie było nawet w mojej sytuacji bardziej uzasadnione zważywszy na zmęczenie, które czułam w nogach.

Gdy tak medytowałam, bo nie chciałam budzić cesarzowej w dość błahej sprawie, usłyszałam nagle za sobą głos mojej mamy:

– Dobrej nocy, kochanie!

– Życzymy ci kolorowych snów! – dodał mój tata.

Odwrociłam się gwałtownie, ale za mną nie było nikogo. Ponieważ drzwi zostawiłam otwarte, widziałam, że korytarz też jest pusty.

– Kto to powiedział? – spytałam.

– To my – odrzekł głosem mojej mamy lewy bambosz, któremu w trakcie wypowiedzania tych słów świecił się pomponik.

– Ale dlaczego...

– Zawsze mówimy głosami, które korzystająca z nas osoba chce w danej chwili najbardziej usłyszeć – uzupełnił prawy.

– Ale skąd wy wiecie, jakimi głosami mówią moi rodzice?

– Otrzymaliśmy pliki dźwiękowe z centrali – wyjaśnił lewy.

– Obuwniczey?

– Tak – potwierdził prawy.

Kapcie miały rację; bardzo tęskniłam za rodzicami, i choćby z tego powodu postanowiłam jeszcze trochę z nimi porozmawiać.

– Może wy wiecie, moje bamboszki kochane, w którą stronę należy kłaść się na łóżku? Na poduszce ma być głowa czy stopa?

– Nie wiemy – odpowiedział lewy.

– Ale przecież ja nie jestem pierwszą osobą, którą obsługujecie?

– Tak – przyznał prawy – lecz z tego miejsca nie widać poduszek...

– A jak myślicie?

Pomponiki zaczęły świecić się pulsująco, co chyba oznaczało myślenie. W końcu prawy rzekł:

– Ponieważ nogi są najważniejsze, myślę, że na poduszkach należy kłaść stopy...

– A skąd! – nie zgodził się drugi. – Najważniejsze jest serce. A skoro jest ono bliżej głowy, więc to ją trzeba położyć na poduszce.

– Jako że nie jesteście jednomyślni, to może moglibyście połączyć się z tą waszą centralą i tam zapytać?

Pomponik lewego zaczął znów emitować pulsujące światło, a ponadto przednia część kapcia lekko uniosła się wibrując, co prawdopodobnie oznaczało łączenie.

– Niestety – powiedział po kilkunastu sekundach. – W centrali dyżuruje jakiś kalosz, który też nie wie, ponieważ zawsze stał w przedpokoju...

W tym momencie wpadł mi do głowy genialny pomysł. Przeniosłam jedną z poduszek na drugi koniec łóżka i ułożyłam się mając głowę na jednej, a stopy na drugiej.

Zasypiając pomyślałam jeszcze o tym biskupie, który chciał mi odmówić prawa do istnienia. „Przecież in vitro nie robi nikomu żadnej krzywdy, więc dlaczego ma być zabronione? Natomiast teraz nie tylko istnieję, ale będę żyć wiecznie...”

KONIEC ROZDZIAŁU 4

CIĄG DALSZY NASTĄPI (ten plik zawiera odcinki od nr 1 do nr 117)

Często zadawane pytanie: Czy to prawda, że bohaterowie powieści poruszają się przy pomocy teleportacji?

Odpowiedź: Nie, to nieprawda, ponieważ teleportacja dużych obiektów jest niemożliwa z powodów fizycznych. Dlatego mieszkańcy raju pokonują duże odległości przy użyciu innej metody całkowicie dotąd nieznannej na Ziemi.

Często zadawane pytanie: Czy ta powieść będzie w sprzedaży w księgarniach?

Odpowiedź: Tak, będzie sprzedawana w dobrych księgarniach, tak szybko jak to możliwe.

Odwiedzaj okresowo witrynę www.nova.pc.pl